

Bartłomiej Kozłowski

Czy grozi nam świat bez wolności słowa?

„Inny punkt widzenia to sobie może być w temacie, z czym zjeść zupę pomidorową, a nie, komu należą się prawa człowieka”, napisała jakiś czas temu (nie wiem niestety, dokładnie gdzie, w artykule, w którym stwierdzenie to zostało przytoczone nie było o tym mowy) Dominika, studentka Uniwersytetu Wrocławskiego. Jej wypowiedź była jedną z szeregu reakcji na działania władz tej uczelni, polegające na zorganizowaniu – początkowo dla 2000 jej studentów – prenumeraty online na gazety, których redakcje zgodzą się na taką formę współpracy.

Pierwszą gazetą, do której studenci otrzymali bezpłatny dostęp *via* Internet była „Gazeta Wyborcza”. Zapewnienie możliwości czytania na komputerach czy smartfonach tego dziennika nie wzbudziło, jak się zdaje, niczyjego sprzeciwu. Kiedy jednak na uczelnianym Facebooku pojawiła się informacja o dostępie do kolejnego dziennika – „Gazety Polskiej Codziennej” (z błędnie podanym tytułem – dziennik ten nazywa się „Gazeta Polska Codziennie”) studenci zareagowali powszechnym oburzeniem. Tylko nieliczni próbowali w raczej nieśmiały sposób bronić decyzji uczelni o udostępnieniu strony tego pisma. I tak np. niejaki Jan napisał: *„Uniwersytet to miejsce konfrontacji różnych poglądów. Inicjatywa całkowicie słuszna i potrzebna. Może warto się czasem zapoznać z argumentacją drugiej strony?”*. Odpowiedź innych internautów na jego pytanie była taka, że dyskryminacja nie jest poglądem.

Studenci postanowili napisać skargę do rzecznika antydyskryminacyjnego UWr dr Łukasza Prusa, z którym decyzja o współpracy z „Gazetą Polską” nie była konsultowana (jak zaznaczył szef działu komunikacji uczelni Tomasz Sikora, nie musiała być). Natomiast część studentów I roku politologii wysłała list do rektora UWr prof. Przemysława Wiszniewskiego:

„Dehumanizacja drugiego człowieka to nie jest pogląd. Promowanie naklejek przypominających nazistowskie selekcjonowanie stref dla Żydów, dla homoseksualistów i niepełnosprawnych to nie jest pogląd. Teraz Uniwersytet przyłożył rękę do promocji medium, które taką narrację prezentuje. Taka sytuacja nigdy nie powinna mieć miejsca” - napisali w nim oburzeni zapewnieniem dostępu do GPC studenci. Starosta roku Christian Szpilski stwierdził, że *„Po reakcji pod postem uczelnia powinna już wiedzieć, by nie brnąć w to dalej”*. I dodał, że *„Dołączyli się do nas również studenci pierwszego roku prawa. Rozważają to także inne kierunki i roczniki”*. Zaś jego kolega z roku Adam Kudyba wyraził opinię, że *„Sam pomysł byłby dobry, gdyby uczelnia wybrała inne konserwatywne tytuły, w których faktycznie pracują dziennikarze. Wolność ma swoje granice do momentu naruszenia wolności drugiego człowieka, a ta gazeta wielokrotnie ją przekroczyła”* – tak Adam Kudyba uzasadnił swój sprzeciw wobec decyzji władz UWr o dostępie do strony internetowej GPC.

Cała opisana pokrótce powyżej awantura zakończyła się wycofaniem się UWr z prenumerowania zarówno „Gazety Wyborczej” jak i „Gazety Polskiej Codziennie”. Odnosnie

wspomnianej tu historii zastanawiałem się nad tym, czy warto jest się do niej w jakikolwiek sposób odnosić – oczywiście jest chyba, że władze UWr nie miały obowiązku zapewnienia studentom bezpłatnego dostępu czy to do „Gazety Wyborczej”, czy to „Gazety Polskiej Codziennie” czy jakiegokolwiek innej. Podejmując wspomnianą tu akcję – którą UWr w oczywisty sposób miał prawo z takich czy innych powodów zakończyć – UWr nie zrobił też rzeczy niewłaściwej, jaką byłoby zapewnienie dostępu tylko do pewnych, selektywnie i jednostronnie wybranych przez siebie tytułów. To prawda, że dostęp online został zapewniony tylko do stron internetowych dwóch wspomnianych powyżej dzienników, ale miał też zostać zapewniony do innych – więc intencja władz UWr na pewno nie była taka.

Ostatecznie jednak doszedłem do wniosku, że do sprawy – o której przeczytałem na internetowej stronie „Gazety Wyborczej” warto się ustosunkować – nie ze względu na inicjatywę władz UWr, która była w sumie, tak to chyba można powiedzieć, całkiem fajna, czy też wycofanie się UWr z tej inicjatywy – co było może odrobinę mniej fajne, ale przecież było czymś, co uczelnia miała absolutne prawo zrobić – lecz ze względu na reakcję studentów na tę inicjatywę. Odnośnie komentarzy, jakie zostały sformułowane pod adresem władz UW w związku z zapewnieniem dostępu do „Gazety Polskiej Codziennie” można bowiem – wydaje mi się – zadać pytanie, czy nie wyrażają one w całkiem wyraźny sposób poglądów dużej części młodych ludzi na temat takich spraw, jak wolność słowa i dyskryminacja – a w których to poglądach występuje – moim zdaniem - wyraźne pomieszanie z poplątaniem i które ponadto stawiają przyszłość wolności słowa pod pewnym znakiem zapytania.

Czy można twierdzić, że dyskryminacja to nie jest pogląd? Oczywiście, jak najbardziej. Dyskryminacja nie jest poglądem, lecz rodzajem działania. Lecz powiedzmy pokrótce, na czym dyskryminacja może polegać, a na czym nie. Kiedy stykam się z takim terminem jak dyskryminacja, przychodzą mi do głowy sytuacje tego np. rodzaju, że pracodawca gorzej traktuje kogoś ze swoich pracowników – np. płaci mu mniej, niż innym osobom wykonującym takie same czy podobne zajęcia, czy selektywnie wybiera go do zwolnienia – z tego powodu, że ten pracownik odznacza się taką – przykładowo – cechą, jak określona przynależność narodowościowa, rasowa, religijna, czy też np. orientacja seksualna bądź płeć. Tego rodzaju dyskryminacja w oczywisty sposób żadnym poglądem nie jest – choć, rzecz jasna, może być ona wynikiem wyznawania przez kogoś, kto ją stosuje jakiegoś poglądu – np. takiego, że osoby należące do pewnych grup są mniej wartościowe (albo są po prostu gorszymi pracownikami) od innych. To oczywiście nie może usprawiedliwiać tego rodzaju dyskryminacji – podobnie, jak dokonanie zamachu na życie jakiegoś polityka (mam tu na myśli polityka działającego w demokratycznym państwie, nie obejmuję swym rozważaniem różnego rodzaju tyranów, których nie sposób jest odsunąć od władzy inaczej, jak siłą) nie może być usprawiedliwiane wyznawaniem opinii, że ten polityk jest wyjątkowo szkodliwy dla kraju. Ale, powiedzmy sobie, że w przypadku GPC o tego rodzaju dyskryminacji nie było mowy. Studentów UWr nie wzburzyło przecież np. to, że – to oczywiście czysta hipoteza - redakcja „Gazety Polskiej Codziennie” gorzej niż innych traktuje tych pracowników tego dziennika, którzy są – dajmy na to – Żydami, Arabami, gejami, kobietami itd. – albo, że nie

chce zatrudniać takich osób, mimo ich (hipotetycznie przeze mnie założonej) chęci pracy dla tej gazety.

Co zatem według studentów UW r było dyskryminacją, stosowaną przez GPC? Otóż, dyskryminacją taką było według nich (przede wszystkim) dołączenie swego czasu do tej gazety naklejek, na których widniała przekreślona czarnym krzyżykiem tęcza i napisane było „Strefa wolna od LGBT”. Zdaniem studentów UW r rysunek i napis na wspomnianych naklejkach były dyskryminacją, a nie poglądem (czy lepiej chyba mówiąc, wyrażeniem poglądu – przecież pogląd jako taki to jest coś, co człowiek ma u siebie w głowie).

Czy jednak można w przypadku wspomnianych naklejek GPC mówić o dyskryminacji w takim sensie, w jakim można o niej mówić w odniesieniu do takich – przykładowo – działań, o jakich była mowa powyżej? – a więc np. niezatrudnienia, czy zwolnienia z pracy, albo gorszego niż innych traktowania w pracy kogoś z tego powodu, że jest on np. Żydem, muzułmaninem, czarnoskórym, gejem itd.?

Moim zdaniem w sposób oczywisty nie. Dlaczego? Otóż, przede wszystkim dlatego, że taka dyskryminacja, o jakiej była tu wcześniej mowa jest czymś, co ma konkretne, życiowe skutki dla dotkniętych nią osób. O jakich skutkach tu mówimy? Ano, np. takich, że ktoś zostaje zwolniony z pracy – i traci przez to źródło utrzymania. Albo, że ktoś - z powodu np. rasy, płci, czy orientacji seksualnej – nie zostaje zatrudniony, z podobnym w sumie efektem. Lecz wydrukowanie – i następnie rozpowszechnienie (czy to w wersji papierowej, czy online) - GPC z dodanymi do niej naklejkami (w wydaniu internetowym, do jak rozumiem, ewentualnego późniejszego ich wydrukowania) z przekreśloną tęczą i napisem strefa wolna od LGBT w sposób oczywisty nie mogło mieć takich efektów. Stworzenie rzeczywistych „stref wolnych od LGBT” – do których lesbijki, geje, biseksualiści i transseksualiści nie mieliby wstępu, bądź byliby w nich traktowani gorzej, niż osoby nie należące do mniejszości seksualnych – niewątpliwie byłoby dyskryminacją z powodu orientacji seksualnej. Jednak sam fakt opublikowania i rozpowszechnienia „Gazety Polskiej Codziennie” ze wspomnianymi naklejkami takich stref nie tworzył, bo po prostu nie mógł. Czy mogłoby je stworzyć – bądź w taki lub inny sposób stanowić dyskryminację w sensownym znaczeniu tego pojęcia – jakieś wykorzystanie tych naklejek? Odnośnie tego wykorzystania wyobraźmy sobie sytuację niewątpliwie najczęstszą z możliwych: ktoś kupuje GPC z załączoną do niej naklejką z przekreśloną tęczą i napisem „Strefa wolna od LGBT” i nalepia ją na drzwiach swego pokoju w swoim własnym mieszkaniu. Jakie to jest tworzenie „strefy wolnej od LGBT” bądź ewentualnie dyskryminacja osób należących do mniejszości seksualnych? Moim zdaniem, na zdrowy rozum żadne. A gdyby nawet ktoś usiłował twierdzić, że jest to jakaś dyskryminacja – bo np. osoba należąca do którejs z grup określanych łącznym skrótem LGBT mogłaby się, będąc z takiego czy innego powodu w takim mieszkaniu poczuć się dyskryminowana z powodu swej orientacji seksualnej – to jest chyba rzeczą oczywistą, że zabranianie ludziom umieszczania wspomnianego rodzaju naklejek czy napisów we własnych domach byłoby niedopuszczalną ingerencją w prywatność. Poza tym, jest chyba jasne, że nikt, włącznie z najbardziej zażartymi zwolennikami walki z dyskryminacją (z takich powodów, jak przynależność narodowa,

rasowa, płeć, orientacja seksualna, transpłciowość itd.) nie proponuje tego, by prawnie zabronić jakichkolwiek form dyskryminacji z takich przyczyn: domaga ktoś się np. tego, by zakazać ludziom stosowania dyskryminacji z takich powodów, jak czyjaś narodowość, rasa, orientacja seksualna, płeć, transpłciowość, wiek itd. w takich – przykładowo - dziedzinach, jak dobór znajomych i przyjaciół? Bądź w takiej dziedzinie, jak – dajmy na to – życie seksualne? Sama już myśl o zakazie dyskryminacji w takich, jak wspomniane obszarach życia wydaje się kompletnym absurdem – a hipotetyczne póki co państwo, które zakazy dyskryminacji w takich dziedzinach narzucałoby przy użyciu środków prawnego przymusu musiałoby być państwem skrajnie totalitarnym. Ale zakazu takiej dyskryminacji nigdzie oczywiście nie ma i zapewne nikt nawet pomysłu jego wprowadzenia w sposób poważny nie rozważa.

Umieszczenie przez kogoś w jego prywatnym mieszkaniu naklejki z napisem „Strefa wolna od LGBT” i przekreśloną tęczową flagą dyskryminacją takich osób, jak lesbijki, geje, biseksualiści czy transseksualiści dyskryminacją w żadnym sensownym znaczeniu tego słowa zatem by nie było. Czy o takiej dyskryminacji można byłoby mówić w przypadku umieszczania wspomnianych naklejek w przestrzeni publicznej, w postaci np. nalepiania ich na mury budynków, ogrodzenia, itd.?

Odnosnie tego pytania trzeba powiedzieć, że gdyby znajdujące się na wspomnianych tu naklejkach napisy „Strefa wolna od LGBT” faktycznie tworzyły jakieś strefy wolne od LGBT – w tym sensie, że tzw. jak to się obecnie określa osoby LGBT nie miałyby wstępu do takich stref, czy też byłyby w takich strefach traktowane gorzej, niż pozostałe, to byłaby to niewątpliwie niedopuszczalna dyskryminacja. Wszyscy bez względu na takie cechy, jak narodowość, wyznanie, płeć, orientacja seksualna i mnóstwo jeszcze innych mają takie same prawo do korzystania z przestrzeni publicznych i nikt nie może zostać pozbawiony tego prawa z tego powodu, że jest gejem, transseksualistą czy kimś jeszcze innym. Ale oczywiście jest chyba to, że umieszczenie w miejscu publicznym – takim, jak ściana budynku, płót, czy słup ogłoszeniowy naklejki z napisem „Strefa wolna od LGBT” i skreśloną tęczową flagą nie miałyby mocy sprawczej, by z miejsca, w którym naklejka taka została umieszczona zrobić „strefę wolną od LGBT” we wspomnianym powyżej znaczeniu tego pojęcia. Czy umieszczanie wspomnianych naklejek w miejscach publicznych, bądź samo opublikowanie gazety z dołączonymi do niej takimi naklejkami można byłoby uznać za dyskryminację osób LGBT z tego powodu, że osoby te (a w każdym razie niektóre z nich) czują się przez treść tych ulotek dyskryminowane? Jeśli tak, to za dyskryminację należałoby też uznać umieszczanie w przestrzeni publicznej takich przykładowo napisów, jak „strefa wolna od PiS” albo „strefa wolna od lewactwa” „strefa wolna kleru” czy nawet „strefa zdekomunizowana”. Treść tych wszystkich napisów mogłaby powodować to, że niektórzy ludzie – np. członkowie bądź zwolennicy PiS, osoby o lewicowych poglądach, księża czy zakonnicy lub zakonnice, bądź osoby w przeszłości związane z tzw. władzą ludową – mogliby się czuć w jakiś sposób dyskryminowani i wykluczeni. Ale przytomnie chciałbym zauważyć, że umieszczanie w przestrzeni publicznej tego rodzaju treści nie jest zabronione. Dlaczego miałyby być zabronione umieszczanie treści, mówiących o jakichś – w rzeczywistości nie istniejących jako coś realnego, w sensie pozbawienia osób LGBT praw

dostępu do takich miejsc czy gorszego traktowania ich w takich miejscach – strefach wolnych od LGBT?

Wyobraźmy sobie jeszcze inny rodzaj sytuacji: ktoś umieszcza nalepki z napisem „Strefa wolna od LGBT” i przekreśloną tęcza flagą w takim miejscu, jak zakład pracy – bądź uczelnia (np. Uniwersytet Wrocławski). Czy takie działanie można byłoby uznać za dyskryminację z powodu orientacji seksualnej w sensownym znaczeniu tego pojęcia?

Niewykluczone, że tak. W tym akurat kontekście warto zwrócić uwagę np. na to, że w prawie amerykańskim znane jest pojęcie dyskryminacji polegającej na molestowaniu, czy też dręczeniu (*harrasment*) poprzez tworzenie wrogiego środowiska pracy. Ten rodzaj zakazanej zdaniem Sądu Najwyższego USA na podstawie tytułu VII Ustawy o Prawach Obywatelskich z 1964 r. dyskryminacji ma miejsce wówczas, gdy jakieś mające w takim miejscu, jak zakład pracy zachowania mają charakter tak dotkliwy lub wszechobecny, że zmieniają one warunki zatrudnienia ofiary i tworzą „uwłaczające środowisko pracy”.

Co odnośnie dyskryminacji polegającej na dręczeniu kogoś poprzez tworzenie wrogiego środowiska pracy – czy też wrogiego środowiska nauczania – gdyż pojęcie to zostało zastosowane także w kontekście instytucji edukacyjnych – jest istotne, to dwie rzeczy. Po pierwsze, wspomnianego rodzaju dyskryminacja może polegać wyłącznie na mówieniu, pisaniu czy pokazywaniu czegoś – przykładowo, na wieszaniu w zakładzie pracy zdjęć rozebranych kobiet. Dyskryminacją taką mogą być więc pewne rodzaje ekspresji – również takie, których władze publiczne generalnie rzecz biorąc nie mogą karać bez naruszania I Poprawki do Konstytucji USA. Warto tu zwrócić uwagę na to, że ekspresja stanowiąca tzw. „*hostile environment harassment*” nie musi być skierowana do lub odnosić się do jakichś konkretnych osób lub ich małych grup. Może się ona odnosić także do wielkich grup ludzi – takich, przykładowo, jak osoby LGBT i – przynajmniej teoretycznie rzecz biorąc – obejmuje wypowiedzi skierowane do dużych grup ludzi – takich np. jak znaczna ilość osób zebranych na wykładzie. W tym względzie zakaz dyskryminacji poprzez tworzenie wrogiego środowiska pracy - za którego naruszenie odpowiedzialny jest pracodawca, jeśli nie podejmuje działań przeciwdziałających tworzeniu w swoim zakładzie takiego „środowiska” - jest – można zauważyć – swego rodzaju wyjątkiem od dominującego w amerykańskim prawie podejścia do kwestii „mowy nienawiści”, zgodnie z którym dopuszczalne są kary za bezpośrednie napaści słowne „twarzą w twarz” na konkretne osoby, czy też uporczywe werbalne dręczenie, bądź zniesławianie konkretnych osób (lub ich niewielkich – maksimum ok. 25 – osobowych grup), ale nie za obraźliwe wypowiedzi na temat dużych grup – takich, jak grupy rasowe, narodowościowe, religijne, a także np. polityczne, zawodowe itd. czy za „nawoływanie do nienawiści” (lub nawet przemocy – dopóki nie chodzi o przemoc, która miałaby wybuchnąć praktycznie natychmiast i której spowodowanie jest w konkretnym przypadku wysoce prawdopodobne) przeciwko takim grupom.

Możliwe jest zatem, że zachowanie tego np. rodzaju, co oblepienie jakiegoś zakładu pracy czy też uczelni naklejkami z napisem „Strefa wolna od LGBT” i rysunkiem przekreślonej tęcza flagi byłoby czymś, co amerykański sąd mógłby uznać za dyskryminację polegającą na tworzeniu wrogiego środowiska wobec osób należących do mniejszości seksualnych. Lecz

żadne tego rodzaju zachowanie w sprawie, do której w tym tekście się odnoszę w sposób oczywisty nie miało miejsca. Uniwersytet Wrocławski – ani np. żaden jego wydział – nie został obklejony nalepkami dołączonymi swego czasu do „Gazety Polskiej Codziennie”. Nikt nie był przez władze UWr zmuszany do lektury wspomnianego dziennika – stworzona została tylko taka możliwość, z zamiarem rozszerzenia jej na kolejne tytuły, do których dostęp generalnie rzecz biorąc jest płatny.

Warto też zwrócić uwagę na to, że sprawy o dyskryminację polegającą na tworzeniu wrogiego środowiska pracy, czy też wrogiego środowiska edukacyjnego nie są łatwe do wygrania. Zdaniem Sądu Najwyższego USA sama tylko ekspresja zazwyczaj nie daje dostatecznego powodu do stwierdzenia takiej dyskryminacji i może dawać taki powód jedynie wówczas, gdy jest ona tak „dotkliwa, wszechobecna i obiektywnie obraźliwa, że w skutecznie blokuje dostęp ofiary do miejsca pracy lub do możliwości bądź korzyści edukacyjnych”. Aby więc ktoś w USA mógł wygrać sprawę przeciwko swemu pracodawcy, czy przeciwko swojej uczelni o dyskryminację z powodu jego np. orientacji seksualnej poprzez stworzenie wrogiego środowiska pracy bądź wrogiego środowiska edukacyjnego polegające na oblepieniu takiego miejsca, jak zakład pracy czy też uczelnia naklejkami z napisem „Strefa wolna od LGBT” musiałby udowodnić to, że z powodu takich naklejek nie może on normalnie pracować, względnie się uczyć. Żadna jednak tego rodzaju sytuacja na Uniwersytecie Wrocławskim nie miała miejsca – w kontekście hipotetycznego wyobrażenia takiej sytuacji warto zauważyć, że aby takie zachowania, jak np. rozklejenie homofobicznych nalepek na terenie zakładu pracy czy też uczelni mogło zostać uznane za dyskryminację polegającą na tworzeniu wrogiego środowiska pracy lub wrogiego środowiska edukacyjnego zachowania takie muszą być, jak stwierdził amerykański Sąd Najwyższy „wszechobecne” (ang. *pervasive*) – muszą one dosłownie „przenikać” daną instytucję. O żadnym „przenikaniu” Uniwersytetu Wrocławskiego przez jakieś homofobiczne wypowiedzi – w postaci choćby naklejek z napisem „strefa wolna od LGBT” – czy inne zachowania w tym co czytałem nie było mowy.

O naklejkach dołączonych swego czasu do „Gazety Polskiej Codziennie” – czy też innych treściach zamieszczanych w tym dzienniku nie da się więc w żaden sensowny sposób twierdzić, by stanowiły one „dyskryminację” – czy to osób LGBT, czy jakiegokolwiek innej grupy – jeśli już, to stanowiły one „dyskryminację” osób LGBT w takim samym sensie, w jakim „dyskryminacją” jakiejś grupy osób – np. policjantów, komorników, urzędników skarbowych, sędziów, prokuratorów, księży, pijaków itd. stanowią wypowiedzi negatywnie odnoszące się do takiej grupy – takie jednak wypowiedzi nie są zakazane i nikt chyba nie nazywa ich też „dyskryminacją”. Czy można zatem twierdzić, że treść naklejek dołączonych do GPC nie wyrażała żadnego poglądu – bo w kontekście całej sprawy, o której tu jest mowa, to chyba musiał mieć na myśli ktoś, kto stwierdził (*per se*, jak stwierdziłem, słusznie) że dyskryminacja nie jest poglądem?

Odnosnie tej kwestii warto spróbować odpowiedzieć na pytanie: czy można powiedzieć, napisać bądź opublikować coś, co nie wyrażałoby żadnego poglądu – albo też nie przekazywało żadnej informacji? Otóż, myślę, że jak najbardziej. Jeśli napiszę coś – przykładowo – takiego: m,30v 4ugtvm58-v45fm3hfmici3fmc-f834 – to nie wyraża to żadnego

mojego poglądu, żadnej mojej myśli, ani nawet jakiegoś stanu emocjonalnego (który może być wyrażony np. śmiechem, krzykiem, czy płaczem – te ostatnie zachowania też są przecież pewnymi formami ekspresji). W oczywisty sposób nie przekazuje to żadnej informacji o czymkolwiek. Nie ma w tym żadnego znaczenia ani sensu: jest to tylko wynik chwilowego stukania w przypadkowe klawisze komputera w celu zilustrowania tezy, że owszem, można powiedzieć czy napisać coś, co żadnego poglądu nie wyraża (ani nie przekazuje jakiegokolwiek wiadomości – no, ewentualnie pod czymś takim, jak powyżej napisałem może się kryć jakaś wiadomość tajna, ale spokojnie – tu jej nie ma). Lecz o naklejkach dołączonych swego czasu do „Gazety Polskiej Codziennie” nie można przecież powiedzieć, by ich treść nic nie znaczyła. I nie ma żadnej wątpliwości co do tego, że treść ta była doskonale zrozumiała dla studentów UWr, którzy zaprotestowali przeciwko zapewnieniu im przez uczelnię bezpłatnego dostępu do GPC. Treść tych naklejek w oczywisty sposób stanowiła wyraz pewnych opinii. Zgoda, że nie były to opinie wyłożone kawa na ławę w stylu „ja uważam, że” – zresztą, wydaje mi się, że względnie mało które wypowiedzi wyrażają jakieś opinie w taki właśnie, przysłowiowo mówiąc łopatologiczny sposób. Ale opinie, poglądy, czy też przekonania były w tych naklejkach widoczne. W sposób oczywisty widoczna była niechęć wobec pewnej grupy ludzi – jak ich się obecnie określa, osób LGBT (czy LGBT+ itd.). Taka niechęć – a może nienawiść? – nie jest to jasne – jest czymś mogącym budzić (słusznie) sprzeciw, czy nawet oburzenie – ale jest ona stosunkiem do określonej grupy społecznej, który może być okazywany czy to za pomocą jakichś słów, czy też symboli – w przypadku wspomnianych tu naklejek przede wszystkim przy użyciu rysunku przekreślonej tęczowej flagi. Tak przy okazji, nikt chyba nie twierdzi, że wyrażanie nastawienia wobec jakiejś grupy osób czy konkretnej osoby może być niedopuszczalne z tego powodu, że nie odbywa się ono w sposób wystarczająco precyzyjny? I zresztą, widniejący na dołączonych do GPC naklejkach napis „Strefa wolna od LGBT” - zwłaszcza w połączeniu ze wspomnianym rysunkiem – wyrażał pewne zapatrywania w bardziej, można powiedzieć, precyzyjny sposób. Napis ten – jak i zresztą całą treść owych naklejek można było zinterpretować jako poparcie dla niewątpliwie godnej ubolewania akcji dużej części polskich samorządów, jaką było ogłoszenie podległych im gmin, miast czy powiatów „strefami wolnymi od ideologii LGBT”. Stwierdzenie, że strefy wolne od „ideologii LGBT” – albo po prostu od LGBT – powinny powstać – albo, że dobrze, że takie strefy powstają – jest moim zdaniem stwierdzeniem skandalicznym, lecz jakby skandaliczne ono nie było, w żaden sensowny sposób nie da się twierdzić, że nie wyraża ono żadnego poglądu. Odnośnie wspomnianych naklejek dołączonych do „Gazety Polskiej Codziennie” nie da się również twierdzić tego, że zamieszone na nich treści nie były tylko i wyłącznie wyrażaniem jakichś poglądów, czy też przekazywaniem informacji. Gdyby naklejki te faktycznie ustanawiały jakieś „strefy wolne od LGBT” w których osoby należące do mniejszości seksualnych nie miałyby prawa przebywać, bądź byłyby w nich traktowane gorzej od pozostałych osób to naklejki te stanowiłyby takie wypowiedzi, które są jednocześnie czynami, w tym sensie, że mają one bezpośrednie skutki w fizycznym świecie. Do takich wypowiedzi zaliczyć można np. skierowane przez pracodawcę do pracownika słowa: jesteś zwolniony – które zmieniają życiową sytuację pracownika, bądź przynajmniej zapowiadają jej szybką zmianę. Należą do nich wojskowe rozkazy, które żołnierze – pod groźbą stosowanej kary za niepodporządkowanie się im – muszą wykonywać. Należą do nich słowa mogące być integralną częścią takich przestępstw, jak napad rabunkowy („pieniądze,

albo życie!”), szantaż (np. „jeśli w ciągu... dni nie zapłacisz mi miliona, twoja chatupa spłonie”), czy oszustwo. Lecz naklejki z napisem „Strefa wolna od LGBT” w oczywisty sposób żadnych stref wolnych od LGBT stworzyć nie mogły. Zaś wyrażenie poparcia dla tworzenia takich – mających w sumie symboliczne znaczenie – stref ponad wszelką wątpliwość jest wyrażeniem poglądu. (1)

Jak więc widać, nie można w sensowny sposób twierdzić, że treść umieszczona na naklejkach dołączonych swego czasu do „Gazety Polskiej Codziennie” była dyskryminacją, a nie poglądem. A gdyby już ktoś się upierał przy tym, że była to dyskryminacja, to warto tu byłoby rozróżnić między dwoma rodzajami dyskryminacji: dyskryminacją polegającą na bezpośrednim wpływaniu na sytuację życiową dotkniętych tą dyskryminacją ludzi, a dyskryminacją polegającą na „dyskryminacyjnym” nastawieniu wobec jakichś ludzi. Ten pierwszy rodzaj dyskryminacji w sposób zasadny może być prawnie zabroniony, choć też nie we wszystkich sytuacjach – np. nie w takich, w których jego egzekwowanie musiałoby się wiązać z ingerencją w prawo do prywatności. W przypadku tego drugiego rodzaju – niech będzie – dyskryminacji zastanawiam się nad tym, gdzie mogą być granice tego pojęcia. Są dyskryminacją publiczne, dyskryminacyjne wypowiedzi na temat takich czy innych grup – np. mniejszości narodowych, rasowych, religijnych czy seksualnych, nawet jeśli nie skutkują one bezpośrednio dyskryminacją osób należących do tego rodzaju grup we wcześniej wspomnianym przeze mnie znaczeniu pojęcia dyskryminacji? Ktoś twierdzący, iż dołączone do „Gazety Polskiej Codziennie” naklejki z przekreśloną tęcza i napisem „Strefa wolna od LGBT” stanowiły dyskryminację wobec osób należących do mniejszości seksualnych najprawdopodobniej powie, że tak. Ale jeśli dyskryminacją osób należących do jakiejś grupy może być wyłącznie treść wypowiedzi odnoszącej się do tej grupy, to z taką dyskryminacją mamy logicznie rzecz biorąc do czynienia również wówczas, gdy jakaś „dyskryminacyjna” wypowiedź pada w warunkach czystej prywatności. Zwróćmy tu uwagę na źródłosłów słowa „dyskryminacja”, które pochodzi od łacińskiego wyrazu „*discriminatio*” co na polski tłumaczy się jako rozróżnienie. Wychodząc od tego źródłosłowu pojęcia dyskryminacji można łatwo dojść do wniosku, że jeśli ktoś w nawet w warunkach kompletnej prywatności wypowiada do drugiej osoby jakieś stwierdzenie negatywnie odnoszące się do jakiejś grupy – czy to osób LGBT, czy grupy rasowej, czy jakiejś partii politycznej – to dyskryminuje tę grupę ludzi, gdyż dokonuje rozróżnienia między ludźmi należącymi do tej grupy i nie należącymi do niej. A idąc dalej tą drogą rozumowania można dojść do wniosku, że dyskryminacją mogą być także czyste myśli: jeśli ktoś w negatywny sposób myśli o jakiejś grupie, to w sposób oczywisty dokonuje on rozróżnienia między członkami tej grupy, a ludźmi nie należącymi do niej, a zatem stosuje dyskryminację. Tu dochodzimy już do kompletnego absurdu: nikt chyba nie proponuje zabraniać dyskryminacji polegającej na samych myślach. Tak czy owak: o ile dyskryminacja polegająca na czynach – tego np. rodzaju, co zwolnienie bądź niezatrudnienie kogoś z powodu jego przynależności narodowej, rasowej, religijnej, orientacji seksualnej, płci, poglądów politycznych, przynależności do jakiegoś związku zawodowego itp. nie jest poglądem (choć oczywiście może być wyrazem jakiegoś poglądu, czy zestawu poglądów – podobnie, jak pewnym wyrazem jakiegoś poglądu czy zespołu poglądów mogą być np. działania o charakterze terrorystycznym czy inne formy politycznie bądź ideologicznie motywowanej przemocy), to dyskryminacja polegająca na

umieszczeniu na dołączonych swego czasu do GPC naklejek z przekreśloną tęcza flagą i napisem „Strefa wolna od LGBT” w sposób oczywisty była poglądem – czy, lepiej trochę może rzecz ujmując – wyrazem poglądu (pogląd jako taki to jest coś co człowiek ma w głowie). Można oczywiście powiedzieć, że poglądy, których wyrazem była treść umieszczona na wspomnianych tu naklejkach miały charakter dyskryminacyjny wobec osób LGBT. Ale przecież nie da się powiedzieć, że dyskryminacyjne poglądy nie są poglądami. Zaś forma ekspresji wspomnianych poglądów – wyrażenie ich poprzez symboliczny rysunek oraz napis na dołączonych do GPC naklejkach – była – w odróżnieniu od np. fizycznej przemocy, czy dyskryminacji w postaci zwolnienia kogoś z pracy bądź niezatrudnienia go z powodu jego orientacji seksualnej – albo faktycznego tworzenia „stref wolnych od LGBT” z których osoby będące gejami, lesbijkami itd. są wysiedlane, czy cieszą się w nich mniejszymi prawami od wszystkich innych – w sposób oczywisty czymś, co – przynajmniej generalnie rzecz biorąc – uważane jest za działanie chronione przez prawo do wolności słowa – tak samo, jak za działanie chronione przez to prawo generalnie rzecz biorąc – nie wchodzę tu (na razie) w dywagacje o granicach wolności wypowiedzi, czy też wyjątkach od tej wolności – uważane jest publikowanie, czy to w formie papierowej, czy np. w Internecie – bądź też wypowiedzianie w sposób ustny – dowolnych treści.

Czy w jakikolwiek mający przysłowiowe ręce i nogi sposób można twierdzić, że treść zamieszczona na naklejkach dołączonych swego czasu do GPC nie była poglądem, ponieważ dehumanizowała ona osoby LGBT?

Dehumanizacja to wyraz pochodzenia łacińskiego, który oznacza tyle, co odczłowieczenie. Pojęcie to brzmi wręcz strasznie. W sensie bardzo dosłownym oznaczałoby ono zrobienie z kogoś będącego człowiekiem nie-człowieka. Czegoś takiego oczywiście zrobić się – przynajmniej w całkiem dosłownym sensie - nie da. Pod pojęciem dehumanizacji rozumie się więc w praktyce traktowanie takich czy innych ludzi *jak* nie-ludzi – tj. odnoszenie się do nich jak do zwierząt bądź przedmiotów nie mających żadnych myśli, uczuć, czy emocji lub nawet takie myślenie o nich.

Klasycznym przykładem praktycznej dehumanizacji ludzi mogą być tortury, jakie żołnierze amerykańscy stosowali wobec irackich jeńców podczas II wojny w Iraku w więzieniu Abu Ghraib. Doskonałą ilustracją tej dehumanizacji może być słynne zdjęcie szeregowej Armii USA Lynnie England trzymającej jednego z pensjonariuszy tego więzienia na smyczy. Dlaczego w odniesieniu do zachowania szeregowej England można było mówić, że było to zachowanie dehumanizujące jest chyba jasne: na smyczy to się trzyma psa (któremu niekoniecznie to przeszkadza, dobrze mi znany piesek Pimpuś, który bardzo mnie lubi – ja jego oczywiście też – jest zdaje się całkiem dumny z tego, że on też, jak inne pieski, ma smycz – choć najczęściej gania bez niej, a jak chce się z niej urwać, to z jakiegoś konkretnego powodu – np. do innego psa, a nie dlatego, że czuje się obrażony trzymaniem go na smyczy) a nie człowieka.

Dehumanizacyjnych zachowań tego rodzaju, co te, do których dochodziło np. w więzieniu Abu Ghraib nikt chyba – w każdym razie żaden przyzwoity i mający elementarną wrażliwość człowiek – nie myśli tolerować. Zachowania te oczywiście mogły być – w jakimś stopniu

wyrazem takich czy innych poglądów – choć równie dobrze – i w większym chyba stopniu – mogły być wyrazem zwykłego sadyzmu dopuszczających się takich zachowań osób. Niezależnie jednak od tego, czy były one wyrazem jakichś poglądów, czy też nie – myślę, można przypuszczać, iż do jakiegoś stopnia były – to jasne jest chyba, że nie były one czymś, co można uznać za dopuszczalną formę wyrażania jakichkolwiek poglądów. Nikt chyba nie uważa, że dowolne, o obojętnie jakim charakterze zachowania powinny być tolerowane z tego powodu, że są one wyrazem jakichś opinii. Przykładowo – taki czyn, jak np. podpalenie laboratorium, w którym dokonuje się doświadczeń na zwierzętach może być wyrazem opinii, że to co się dzieje w takim miejscu jest czymś godnym potępienia. Zgodzimy się jednak chyba z tym, że tego rodzaju czyny nie mogą być tolerowane z tego po prostu powodu, że są one wyrazem i wynikiem pewnych przekonań.

Wracając jednak do kwestii dehumanizacji i mających ją stanowić naklejek dołączonych jakiś czas temu do GPC trzeba powiedzieć – choć to jest chyba oczywiste – że w ich akurat przypadku nie sposób jest mówić o dehumanizacji w tym samym sensie, w jakim o dehumanizacji pewnych osób można było mówić w przypadku poniżającego traktowania tych osób we wspomnianym tu więzieniu Abu Ghraib. Jeśli o czymś można tu mówić, to o dehumanizacji pewnych osób poprzez odnoszące się do nich słowa, bądź wypowiedzi o charakterze symbolicznym – których przykładem w przypadku naklejek dołączonych do GPC był rysunek przekreślonej tęczowej flagi.

Można twierdzić, że dehumanizacja osób LGBT jaką – założmy to dla dobra argumentacji – stanowiły treści umieszczone na naklejkach dołączonych do GPC – nie była poglądem? Aby odpowiedzieć na to pytanie, wyobraźmy sobie – dla dobra argumentacji – coś, co można byłoby uznać za najczystszej wody „mowę nienawiści”: ktoś stwierdza, że członkowie jakiejś grupy narodowej, rasowej czy jeszcze innej są podludźmi, albo że nie są oni ludźmi, bądź że są po prostu zwierzętami. O takiej wypowiedzi z pewnością należałoby powiedzieć, że dehumanizuje ona pewną grupę osób. Ale czy można byłoby o niej powiedzieć, że nie wyraża ona żadnego poglądu? Oczywiście nie – można by było o niej powiedzieć to, że wyraża ona straszny, koszmarny, przerażający pogląd – ale z pewnością nie to, że nie wyraża ona żadnego poglądu.

O treściach umieszczonych na naklejkach dołączonych do GPC nie da się więc w elementarnie choćby sensowny sposób powiedzieć, że nie wyrażały one poglądów – czy to z tego względu, że były one „dyskryminacją” bądź z tego, że stanowiły one „dehumanizację” jakieś grupy osób. Czy można o tych treściach – umieszczonych na wspomnianych naklejkach czy też innych treściach obecnych w „Gazecie Polskiej Codziennie” twierdzić, że treści te naruszały czyjąś wolność? Do zadania takiego pytania prowokuje przytoczona tu wcześniej wypowiedź jednego ze studentów UW r który stwierdził, że *„Wolność ma swoje granice do momentu naruszenia wolności drugiego człowieka, a ta gazeta wielokrotnie ją przekroczyła”*. To słuszne – jeśli chodzi o stwierdzenie, że granicą wolności jednego człowieka jest wolność drugiego człowieka – zdanie, ale czy w przypadku treści obecnych w GPC naprawdę można byłoby w sposób poważny mówić o naruszeniu czyjejś wolności?

Odpowiedź na to pytanie jest dla mnie oczywista – i każdy chyba domyśla się, jaka ona jest. Lecz cokolwiek zastanawia mnie – a właściwie to bardziej, można powiedzieć, intryguje – jedno: dlaczego wspomniany student mówił o wolności, a nie o np. *godności*. Godność to zdaniem wielu ludzi wartość nie mniej ważna, jak wolność. Nikt poważnie myślący nie twierdzi, że ludzie powinni cieszyć się nieograniczoną wolnością – w sensie możliwości robienia wszystkiego, co tylko dusza zapagnie. Nawet najbardziej zagorzali obrońcy ludzkiej wolności nie uważają przecież, że ludzie powinni mieć wolność np. dokonywania kradzieży, gwałtów czy morderstw i nie twierdzą, że wolność ludzi – rozumiana jako wolność robienia po prostu tego co się chce – jest, czy też powinna być, nienaruszalna. Natomiast zdania, że czymś nienaruszalnym jest ludzka *godność* można spotkać w konstytucjach. I tak art. 1 ust. 1 Ustawy Zasadniczej RFN z 1949 r. mówi, że „*Godność człowieka jest nienaruszalna. Jej poszanowanie i ochrona jest obowiązkiem wszelkich władz państwowych*”. To samo powiedziane jest we wzorowanym niewątpliwie na tym przepisie art. 30 polskiej konstytucji z 1997 r. - z pewnym dodatkiem w postaci cokolwiek filozoficznego stwierdzenia (z którym nie polemizuję), że godność człowieka jest „przyrodzona” i „niezbywalna” i że stanowi ona źródło wolności i praw człowieka i obywatela.

Tak więc to – zdaniem niewątpliwie wielu ludzi – godność, a nie wolność człowieka jest najwyższą, wymagającą największej ochrony wartością – także, jeśli jest to konieczne, za ceną ograniczenia w jakimś stopniu ludzkiej wolności. Lecz godność – jakby pięknym i wzniosłym pojęciem nie była – jest też pojęciem – co tu dużo mówić – mglistym i niejednoznacznym. Różne rzeczy można uzasadniać odwołując się do pojęcia „godności”. Czasem nawet sprzeczne ze sobą. Ja np. w napisanym ponad 11 lat temu tekście „O tym, czy „hajlowanie” jest na pewno (i zawsze) propagowaniem faszyzmu... i czy artykuły 256 i 257 kodeksu karnego są zgodne z konstytucją” argumentowałem, że wspomniane w tytule tego artykułu przepisy kodeksu karnego, zabraniające publicznego propagowania faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa lub nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, oraz publicznego znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości stanowią naruszenie ludzkiej godności przez państwo, gdyż jest naruszeniem godności obywateli demokratycznego i wolnego państwa próba pobawienia ich dostępu (przynajmniej z „pierwszej ręki”) do pewnych poglądów dotyczących urzędzenia życia społecznego pod pretekstem, że poglądy te są niebezpieczne, bądź obraźliwe dla niektórych osób. Z drugiej strony, wskazać można np. na to, że w Niemczech tamtejsze zakazy „mowy nienawiści” uzasadniane są przede wszystkim tym, że taka „mowa” narusza ludzką godność – która, jak było tu już powiedziane, stanowi w myśl art. 1 niemieckiej konstytucji najwyższą wartość w systemie prawnym. Można też ponadto zauważyć, że art. 256 § 1 kodeksu karnego z 1932 r. dotyczący przestępstwa zniewagi (obrazy) sformułowany był następująco: „*Kto obraża godność osobistą innej osoby w jej obecności albo choćby pod jej nieobecność, lecz publicznie, lub w zamiarze, aby obraza do osoby tej dotarła, podlega karze aresztu do roku lub grzywny*”. W ogóle pojęcie „naruszenia godności” kojarzy się na ogół z czymś takim, jak obrażanie czy znieważanie kogoś.

Gdyby więc wspomniany tu powyżej student powiedział np. coś takiego: „*Wolność ma swoje granice do momentu naruszenia godności drugiego człowieka, a ta gazeta wielokrotnie ją przekroczyła*” to mógłbym polemizować z tym, czy granicą wolności człowieka jest godność drugiego człowieka, i z tym, czy władze UWr zrobiły coś niewłaściwego, zapewniając studentom dostęp do elektronicznej wersji „Gazety Polskiej Codziennie” z tego względu, że gazeta ta publikowała treści naruszające godność takich czy innych osób bądź całych grup. Osobiście dużo prędy zgodzę się z twierdzeniem, że granicą wolności człowieka jest wolności drugiego człowieka, niż że granicą tą jest godność drugiego człowieka – ze względu choćby na mglistość pojęcia godności. W każdym razie nie uważam np. tego, że jakieś wypowiedzi powinny być zakazane i karalne z tego powodu, że naruszają one godność takich czy innych osób bądź grup. Raczej, jestem zdania, że jeśli jakieś stwierdzenia powinny znajdować się poza granicami prawnej tolerancji, to takie, które bezpośrednio i umyślny sposób prowadzą do czyjejś nieusprawiedliwionej szkody czy krzywdy. Do takich wypowiedzi można zaliczyć bezpośrednio niebezpieczne w konkretnych okolicznościach podburzenie do przemocy (czy kłamliwe krzyczenie „pożar!” w pełnym ludzi kinie), można do nich zaliczyć wywołujące strach przed ich spełnieniem groźby przemocy, zaliczyć można też – pod pewnymi warunkami, w które nie będę się tu akurat zagłębiał – zniesławienia dotyczące konkretnych osób. (2) Ale nie można – jak myślę – zaliczyć do nich zwykłych zniewag, polegających na tym, że ktoś się o kimś brzydko czy obraźliwie wyraża (podobnie, jak nie można zaliczyć do nich np. „mowy nienawiści” – których zakazy szereg razy krytykowałem na swoim [blogu](#) i [stronie internetowej](#)). Jeśli personalne zniewagi powinny być karalne, to w takich sytuacjach, kiedy stanowią one uporczywe, werbalne prześladowanie konkretnej osoby (czy małej grupy osób – np. mieszkającej w jednym mieszkaniu rodziny), przed którym ta osoba nie może, czy te osoby nie mogą łatwo uciec. W każdym razie szkoda, mogąca ewentualnie usprawiedliwić karanie znieważających kogoś wypowiedzi powinna być większa, niż polegająca na tym, że ten ktoś po prostu poczuje się nimi obrażony. (3)

Ale dobra. Nikt nie musi się ze mną zgadzać w kwestii zakresu wolności słowa – poglądy, które na jej temat szereg razy wyrażałem są – wydaje mi się – raczej mało popularne w Polsce – czy nawet w ogóle w Europie. Przypuszczam w każdym razie, że poglądy wspomnianego tu studenta – choć nie wiem, prawdę mówiąc, na ile ma on je wyrobione – są odmienne od moich. Ale gdyby ów student powiedział coś takiego, że granicą wolności słowa jest naruszenie *godności* drugiego człowieka, a „Gazeta Polska Codziennie” wielokrotnie naruszała godność czy to konkretnych, wyraźnie określonych osób, czy też całych grup, to mógłbym – jak już wspomniałem – polemizować z tym, czy naruszenie godności człowieka, bądź jakiejś grupy ludzi – w sensie obrażania, znieważania, poniżania, lżenia tego człowieka bądź grupy powinno stanowić granicę swobody wypowiedzi, a także – jak myślę - z tym, czy fakt, iż jakaś gazeta publikuje treści naruszające godność takich czy innych osób bądź grup może być dobrym powodem do tego, by elektroniczne wydanie tej gazety nie było udostępniane przez uczelnię (moim zdaniem byłoby czymś niewłaściwym zapewnienie dostępu do normalnie płatnych treści w sposób celowo selektywny, ale to akurat w przypadku działań podjętych przez UWr nie miało, jak się zdaje, miejsca), ale nie mógłbym raczej polemizować z samym twierdzeniem, że GPC wielokrotnie naruszyła godność czy to konkretnych ludzi czy też całych grup – np. osób LGBT.

Lecz student, o którym była tu mowa nie powiedział – choć nie wykluczam bynajmniej tego, że tak naprawdę to właśnie miał on na myśli – że „Gazeta Polska Codziennie” wielokrotnie naruszyła *godność* drugiego człowieka, tylko, że naruszyła ona – i to wiele razy – *wolność*. Lecz czy o treściach publikowanych w „GPC” – choćby wspomnianych tu wcześniej naklejkach – można w sensowny sposób twierdzić, że naruszały one czyjąś *wolność*?

Zadajmy sobie w ogóle pytanie, czy wypowiedzi jednych ludzi mogą naruszać – tzn. ograniczać – wolność innych? Myślę, że czasami tak. I tak np. jeśli ktoś przy użyciu groźby popełnienia przeciwko niemu bądź osobie dla niego najbliższej przestępstwa – a więc niewątpliwie *jakiejs* wypowiedzi - zmusza kogoś do określonego zachowania, to w sposób oczywisty narusza jego wolność, ponieważ ten ktoś pod wpływem takiej wypowiedzi postępuje nie tak, jakby naprawdę chciał. Podobnie, jeśli ktoś podburza jakichś ludzi do użycia przemocy przeciwko innym, i ci, przeciwko którym przemoc ma być skierowana muszą uciekać, by nie stać się jej ofiarami, to wolność tych osób zostaje naruszona w podobny sposób jak w poprzednim przykładzie. Co jednak jest oczywiste to to, że jakkolwiek w „Gazecie Polskiej Codziennie” mogły być zamieszczane treści obraźliwe dla takich czy innych grup czy osób, to niewątpliwie nie było w niej treści zmuszających ludzi do określonego postępowania pod groźbą wyrządzenia im krzywdy, czy bezpośrednio popychających ludzi do zachowań prowadzących do naruszenia czyjejs wolności. Z pewnością takimi treściami nie były słowa i rysunki zamieszczone na wspomnianych tu naklejkach. Oczywiście jest chyba, że naklejki te nie zmuszały nikogo do tworzenia – wbrew swojej woli, a więc w sposób naruszający wolność – „stref wolnych od LGBT”. Oczywiście jest również to, że naklejki te nie zmuszały nikogo do np. opuszczenia jakiejś „strefy wolnej od LGBT” – co, zgoda, byłoby naruszeniem jego wolności.

Twierdzenie, że treści zamieszczane w „Gazecie Polskiej Codziennie” naruszały czyjąś wolność jest więc bez sensu. Dlaczego jednak wspomniany tu student Adam Kudyba mówił o naruszaniu przez GPC *wolności*, a nie np. *godności* – co byłoby niewątpliwie bliższe prawdy i miałyby cokolwiek większy sens? Odnośnie tego pytania można oczywiście tylko snuć spekulacje. Żeby na nie odpowiedzieć, najlepiej byłoby chyba wejść w głowę Adama Kudyby, czego ja przynajmniej nie jestem w stanie zrobić. Lecz wydaje mi się, iż można powiedzieć, że Adam Kudyba – w sposób nie wiem, na ile świadomy – chciał przy użyciu liberalnego, wolnościowego argumentu – bo przecież twierdzenie, że granicą wolności człowieka jest wolność drugiego człowieka to pogląd, można powiedzieć, z klasycznego liberalnego arsenału – uzasadnić opinię o tak naprawdę nieliberalnym charakterze.

Student Kudyba przynajmniej na czysto deklaratywnym poziomie zdaje się, że jednak uważa, iż to *wolność* człowieka jest granicą, której nie może przekroczyć działanie drugiego człowieka i że w imię ochrony właśnie wolności jednych osób można ograniczać korzystanie z wolności przez drugich. Wspomniana tu na samym początku studentka Dominika nie siłała się na żadne choćby pozornie, czy pseudo-liberalne argumenty. Jak była tu mowa, napisała ona, że „*Inny punkt widzenia to sobie może być w temacie, z czym zjeść zupę pomidorową, a nie, komu należą się prawa człowieka*”.

Co do owej studentki Dominiki: uważam, że w jest sumie fajną rzeczą, iż jest dla niej oczywiste i bezdyskusyjne to, komu należą się prawa człowieka – i że należą się one np. osobom LGBT. Ale trochę ciekaw jestem, odnośnie jakich tematów owa Dominika uważa, że można na ich temat mieć inny – jak rozumiem, niż ona wyznaje – punkt widzenia, a odnośnie jakich już nie? Jasne jest, że jest ona zdania, że można mieć własny punkt widzenia na to, z czym zjeść zupę pomidorową. Domyślam się, dalej, że inny punkt widzenia może być jej zdaniem także np. „w temacie” czy zjeść zupę pomidorową, czy też może lepiej barszcz. Albo grzybową. Co jednak rzeczona Dominika uważa „w temacie” tego, czy można mieć inny punkt widzenia na sprawy, które – powiedzmy – wywołują większe spory niż to, jaką zjeść zupę? Nie będę tego próbował zgadnąć, bo to nie miałyby sensu. Ale mimo wszystko wyobrażam sobie dość w sumie podobne zdania. Jakaś osoba mogłaby np. stwierdzić, że *„Inny punkt widzenia to sobie może być w temacie, z czym zjeść zupę pomidorową, a nie, czy nienarodzone dzieci są ludźmi”* (i aborcja powinna być w związku z tym zakazana). Inna – dla odmiany – mogłaby powiedzieć, że *„Inny punkt widzenia to sobie może być w temacie czy zjeść zupę pomidorową, czy barszcz (albo jeszcze inną zupę – lub w ogóle nie jeść zupy), a nie, czy ciało kobiety należy do niej i czy ma ona prawo o nim zdecydować”* (i w związku z tym aborcja powinna być legalna). Być może, że studentka Dominika byłaby oburzona porównaniem jej stwierdzenia do któregoś z tych wymyślonych prawdę mówiąc przeze mnie czyichś hipotetycznych wypowiedzi. Ale co by o tych trzech wypowiedziach (z których tylko jedna była rzeczywistą wypowiedzią rzeczywistej osoby) nie sądzić, wypowiedzi te mają oczywistą wspólną cechę: wyrażają one zdanie, że własny punkt widzenia można mieć na tematy banalne – odnośnie których nikomu nie przychodzi do głowy, by komuś zabraniać posiadania czy wyrażania swojego zdania na taki temat – ale nie na – niektóre przynajmniej – tematy, które wywołują kontrowersje. Przy okazji, owej Dominice czy innym podobnie myślącym osobom warto uświadomić, że fakt, iż to, że w odniesieniu do pewnych ludzi – np. osób LGBT – nie ma jakiejś generalnej wątpliwości co do tego, czy ludziom tym przysługują prawa człowieka, jest wynikiem tego, że można było dyskutować (ujmując rzecz w jakimś uproszczeniu – bo nikt elementarnie poważny nie uważał przecież nigdy, że tzw. – jak to się obecnie określa – osoby LGBT – nie są ludźmi) o tym, czy ludziom takim prawa człowieka należą się czy też nie. Przykładowo: praktyki homoseksualne kilkaset lat temu były przestępstwem zagrożonym spaleniem na stosie. Obecnie nie stanowią one (w Polsce i w większości krajów świata) żadnego przestępstwa. To, że w społecznym i prawnym podejściu do takich praktyk nastąpiła zmiana niewątpliwie było wynikiem tego, że można było – w jakimś przynajmniej zakresie – dyskutować o tym, jak traktować osoby odczuwające pociąg seksualny wobec własnej płci, a nie tego, że dyskusja na taki temat była całkowicie niemożliwa.

Ale zostawmy w spokoju studentkę Dominikę – nie jest ona (na szczęście) jakąś osobą wpływową i jej przytoczone w tym tekście zdanie jest na zdrowy bez znaczenia w tym sensie, by mogło się ono – z rozsądnym prawdopodobieństwem – do czegoś konkretnego przyczynić. To samo można byłoby powiedzieć o innych przytoczonych w tym tekście stwierdzeniach.

Lecz po pewnej refleksji dochodzę do wniosku, że wspomniane w tym tekście zdania są niepokojące. Dlaczego? Otóż choćby dlatego, że wypowiadają je studenci – młodzi

przedstawiciele elity intelektualnej – być może w przyszłości ludzie, którzy będą odgrywać ważną rolę w kraju. W zdaniach tych – jak już wspomniałem – występuje, według mnie, pomieszanie z poplątaniem: autorzy tych zdań w sposób wręcz absurdalny rozciągają pojęcie dyskryminacji (przy ich rozumieniu tego pojęcia za dyskryminację można byłoby uznać nawet czysto prywatne negatywne wypowiedzi, bądź wręcz jedynie myśli o takich czy innych grupach) i usiłują twierdzić, że nie jest opinią coś, co w oczywisty sposób nią jest.

Nie od rzeczy będzie tu zauważyć, że osobami, które w szczególności – jak się wydaje – zdecydowany sposób zaprotestowały przeciwko zapewnieniu przez UW r możliwości dostępu do normalnie płatnych treści publikowanych na internetowej stronie „Gazety Polskiej Codziennie” byli studenci nie innego kierunku na UW r, jak politologii. Politologia to jak wiadomo nauka o polityce. O tym, co się w niej dzieje. Jak się na to patrzyć, jak to można analizować i rozumieć – zarówno w odniesieniu do tego, co wydarza się „na górze” – a więc co robią przedstawiciele władz państwowych – jak i tego, co dzieje się „na dole” – w zakresie np. kształtowania opinii publicznej. Czegokolwiek zaś nie sądzić by o „Gazecie Polskiej Codziennie” trudno byłoby zaprzeczyć temu, że jest to dziennik wyrażający poglądy jakiejś części polskiego społeczeństwa i odgrywający pewną rolę opiniotwórczą. Opinie, jakie wyrażane są na łamach tego dziennika nie każdemu muszą się podobać. Ale (początkujący choćby nawet) politolog, który oburza się z powodu zapewnienia mu możliwości dostępu do pewnych treści z tego powodu, że treści te są niezgodne z jego przekonaniami – czy nawet z tego powodu, że treściami tymi czuje się on autentycznie obrażony – to dziwny, doprawdy, politolog. Nie jestem pewien, czy ktoś cechujący się tego typu postawą w ogóle nadaje się na politologa.

Można oczywiście twierdzić, że – niezależnie od tego, jak się to manifestuje – fajnie jest, że studencie UW r są przeciwko złemu odnoszeniu się do np. osób LGBT, które na łamach GPC było niewątpliwie widoczne. Lecz można też zadać pytanie, czy nie są oni w dużej mierze przeciwni wolności słowa. Oczywiście, można powiedzieć, że nie zaatakowali oni wolności słowa wprost. Nie domagali się oni np. zamknięcia „Gazety Polskiej Codziennie”, wytoczenia procesu jej dziennikarzom czy redaktorom, bądź ustanowienia prawa, na mocy którego publikowanie jakichś treści – np. wypowiedzi „dyskryminujących” osoby LGBT – stałoby się prawnie zakazane. Zaatakowali tylko zapewnienie im gratisowego dostępu do treści zamieszczonych na stronie internetowej wspomnianego dziennika, za czytanie których normalnie trzeba niestety płacić. Jak już wspomniałem w tym tekście, mogę sobie wyobrazić sytuację, w którym zapewnienie studentom przez uczelnię bezpłatnego dostępu do internetowej wersji jakiejś gazety byłoby rzeczą niewłaściwą. Tak byłoby wówczas, gdyby dostęp do różnych – normalnie płatnych – tytułów udostępniany był w sposób celowo selektywny, z myślą o wpływaniu na przekonania studentów. Czy oburzenie studentów UW r na zapewnienie bezpłatnego dostępu do internetowej wersji GPC było spowodowane tym, że działanie władz UW r zostało przez nich tak właśnie odebrane? Tego do końca nie jestem w stanie wykluczyć – choć, wydaje mi się, że intencja władz UW r nie była taka – bezpłatny dostęp do stron internetowych innych gazet, niż „Wyborcza” i GPC miał się pojawić, w miarę zawierania umów z ich redakcjami. Lecz to są domysły i spekulacje, a ważniejsze – jak zawsze – są fakty. Zaś fakty są takie, że ze strony studentów UW r takie stwierdzenia, jak te

przytoczone w tym tekście za artykułem w „Gazecie Wyborczej” po prostu padły. Nie ma co już się spierać o to, czy (a jeśli to na ile) te twierdzenia są sensowne, czy też nie. Lecz co jest w całej wspomnianej tu historii ważne, to postawy uwidaczniane przez przytoczone tu wypowiedzi. To są postawy co najmniej mogące odnosić się do takiej kwestii, jak wolność wyrażania – a może nawet tylko posiadania – opinii. Na zdrowy rozum, z dużym prawdopodobieństwem można przypuszczać, że ktoś, kto nazywa pewne opinie nie opiniami, lecz np. dyskryminacją, nie jest zwolennikiem wolności dla takich opinii.

Twierdzenia, że pewne opinie nie są po prostu opiniami, czy że niektóre wypowiedzi nie są tak naprawdę wypowiedziami nie są niczym nowym. I tak np. we wprowadzonym w latach 80. w Indianapolis w USA (dzięki współpracy skrajnych feministek z konserwatywną prawicą) rozporządzeniu antypornograficznym (uznanym przez sąd federalny za niezgodne z I Poprawką do Konstytucji USA) pornografia została określona jako „graficzne podporządkowanie kobiet o wyraźnym seksualnym charakterze, zarówno na zdjęciach, jak i w słowach”. Niektóre feministki wprost zrównywały pornografię z gwałtem. Podobne twierdzenia wypowiedziane były na temat „mowy nienawiści”. Przykładowo – w zamieszczonym w publikacji „Otwartej Rzeczypospolitej” „Przestępstwa nie stwierdzono – Prokuratorzy wobec doniesień o publikacjach antysemitycznych” tekście „Dlaczego argumentacja prokuratury jest sprzeczna z zasadami demokracji?” niejaki Tomasz Żukowski napisał, że wypowiedzi antysemitycznych nie można rozpatrywać tylko w kategoriach „nawoływania do nienawiści” – według niego „one same są czynem antysemitycznym”. „Tekst antysemityczny – jak pisał T. Żukowski - jest spełnioną agresją, bo wyklucza Żydów ze wspólnoty obywatelskiej, a czyniąc to, nawołuje jednocześnie do powtarzania tego gestu”. (4) Wśród zwolenników zakazów „hate speech” w ogóle popularny jest slogan, że „rasizm nie jest opinią, lecz przestępstwem”. Odnośnie twardej pornografii – takiej, jak trwający 10 minut film pokazujący narządy płciowe kobiety i mężczyzny w czasie stosunku - znany amerykański profesor prawa i uczonego w dziedzinie Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA Frederick Schauer stwierdził niegdyś, że nie różni się ona od co do istoty od wibratorów, sprzedaży ciała przez prostytutkę czy samego stosunku płciowego. (5)

Krótko mówiąc, według tych twierdzeń, pewne słowa, czy też obrazy nie są po prostu słowami, bądź obrazami (choć nikt chyba nie zaprzecza, że są one również nimi) lecz czynami. Niektóre takie twierdzenia zdobyły pewną popularność np. w Stanach Zjednoczonych: obowiązująca tam I Poprawka do Konstytucji, brzmiąca dosłownie „*Żadna ustawa Kongresu nie może wprowadzić religii ani zabronić swobodnego praktykowania jej, ograniczać wolności słowa lub prasy ani prawa ludu do spokojnych zgromadzeń lub do składania naczelnym władzom petycji o naprawienie krzywd*” zakazuje władzom federalnym – a za pośrednictwem XIV Poprawki także władzom stanowym (i niższego szczebla) ograniczania wolności wypowiedzi (*freedom of speech*) czy też wolności ekspresji (*freedom of expression*). Jeśli coś nie jest wypowiedzią bądź ekspresją to nie jest to chronione przez tzw. klauzulę wolności słowa I Poprawki do Konstytucji. Z myślą, że tak jest, niektórzy ludzie usiłowali argumentować, że pewne rodzaje ekspresji – takie, jak – przykładowo, pornografia bądź „mowa nienawiści” – nie są tak naprawdę ekspresją, lecz akcją, której Pierwsza Poprawka nie chroni.

Jest w tych twierdzeniach coś „na rzeczy”? Odnosnie tego problemu chciałbym przede wszystkim zauważyć (co chyba jest rzeczą oczywistą, ale nie będzie całkiem bez sensu o tym wspomnieć), że nie ma w ogóle jakiegokolwiek ekspresji bez akcji. W sensie fizycznych działań. Jeśli ktoś np. wygłasza przemówienie, musi ruszać swą żuchwą, ustami i językiem – jest to niewątpliwie fizyczne działanie. Ktoś piszący tekst na komputerze i umieszczający go potem na stronie internetowej – tak jak ja to zrobiłem w celu umieszczenia w Internecie tego m.in. tekstu – musi wykonać szereg ruchów palcami – czyli zachowań fizycznych. Ktoś robiący – czy też np. wrzucający do Internetu jakiś film – musi podjąć fizyczne działania po to, by film ten powstał i by inni mogli go oglądać. Oczywistym fizycznym działaniem jest też np. drukowanie gazet lub czasopism – albo książek. Fakt, że nie ma wypowiedzi, czy też ekspresji bez takich czy innych fizycznych działań wynika z tej prostej przyczyny, że ludzie nie są w stanie przekazywać innym ludziom swoich myśli w drodze telepatii (choć nie wiem – może telepatia – gdyby istniała – też mogłaby zostać uznana za rodzaj akcji – wszak musiałyby się ona opierać na jakichś fizycznych procesach).

Ekspresja – każda ekspresja – nie tylko taka, odnośnie której niektórzy ludzie uważają, że powinna być ona prawnie zabroniona – a więc, przykładowo, twarda pornografia czy „mowa nienawiści” – jest więc akcją – w tym sensie, że bez akcji – jakiegoś rodzaju fizycznych działań – by jej po prostu nie było. Ekspresja – albo wypowiedź – różni się jednak od innych ludzkich działań w pewnym ważnym aspekcie: chodzi o to, jak może ona wpływać na rzeczywistość. Powiedzmy sobie jednak wpiery, jak nie może. Otóż, nie może ona wpływać na rzeczywistość bezpośrednio w sposób fizyczny. Za pomocą wypowiedzi nie da się czegoś zniszczyć (pomińmy tu wysoce nietypowe przypadki tego rodzaju, że rezonans między częstością drgań własnych szklanki czy kieliszka, a częstością drgań w głosie śpiewaczki doprowadza do rozbicia szkła. Albo gdy krzyk w górach doprowadza do zejścia lawiny – zresztą w takich przypadkach to nie treść „ekspresji” prowadzi bezpośrednio do jakichś – wstępnie można założyć – negatywnych fizycznych efektów, lecz raczej jej głośność i ewentualnie częstotliwość). Nie da się też za jej pomocą niczego komuś zabrać, ani – o ile wiem – bezpośrednio kogoś zabić. (6) Ekspresja – zasadniczo rzecz biorąc – może oddziaływać, czy przyczyniać się do oddziaływania na rzeczywistość tylko w jeden sposób: poprzez wpływanie na myśli i stany psychiczne jej odbiorców.

Nie jest powiedziane, że wpływ takiej czy innej ekspresji na tych, do których ona dociera nie może być szkodliwy. Przyznają to - jak najbardziej – zwolennicy daleko idącej ochrony wolności słowa. Jak w uzasadnieniu opinii w sprawie Snyder v. Phelps (2011) napisał obecny prezes Sądu Najwyższego USA John Roberts „*Mowa jest czymś potężnym. Może pobudzić ludzi do działania, poruszyć ich do łez zarówno radości, jak i smutku, a także – jak tutaj – wywołać wielki ból*”. Jednak, jak sędzia Roberts stwierdził w następnym zdaniu „*Na podstawie faktów, które mamy przed sobą, nie możemy zareagować na ten ból poprzez ukaranie mówcy*”. Jest tak dlatego, że „*Jako naród wybraliśmy inny kurs - aby chronić nawet wywołujące ból przemówienia w sprawach publicznych, by nie tłumić publicznej debaty*”. Wiele lat wcześniej, bo w 1925 r. inny sędzia amerykańskiego Sądu Najwyższego – Oliver Wendell Holmes – odpowiadając w swym *votum separatum* w sprawie Gitlow v. New York na twierdzenie siedmioosiowej większości Sądu, że manifest propagujący wprowadzenie w

drodze masowych strajków i strajku generalnego komunistycznej dyktatury proletariatu (na której wprowadzenie co najwyżej jakaś bardzo drobna część owego proletariatu miała ochotę) stanowiąc podżeganie do przemocy, stwierdził, że „każda idea jest podżeganiem”. Uznając za niekonstytucyjne wspomniane tu rozporządzenie antypornograficzne wydane swego czasu w Indianapolis sędzia Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych dla VII Okręgu Frank Easterbrook napisał: „Wiele wypowiedzi jest niebezpiecznych. Chemików, których prace mogą pomóc komuś w zbudowaniu bomby, politycznych teoretyków, których publikacje mogą zapoczątkować ruchy polityczne prowadzące do zamieszek, mówców, których pomysły przyciągają protestujących w gwałtowny sposób, wszystkie te i wiele innych pozostawiają po sobie straty”. „Jeżeli – jak pisał dalej sędzia Easterbrook - środek zaradczy (przeciwko szkodom, do których mogą prowadzić wypowiedzi) nie jest bardzo ściśle ograniczony, może być on bardziej niebezpieczny dla wolności słowa, niż wszystkie wyroki w sprawach o zniesławienie w historii”. Tu oczywiście warto uczynić pewne zastrzeżenie – takie mianowicie, że obawy odnośnie potencjalnej szkodliwości pewnych rodzajów ekspresji bywają przesadzone. Odnośnie pornografii wyrażana było nieraz przekonanie, że jej łatwa dostępność może prowadzić do zwiększenia liczby przestępstw seksualnych – np. gwałtów. Jednak nie ma dowodów na to, że tak jest. (7) Podobnie, twierdzi się, że „mowa nienawiści” przyczynia się do aktów przemocy i innych „przestępstw z nienawiści” (np. niszczenia własności czy też przypadków zastraszania) przeciwko osobom należącym do mniejszości narodowych, rasowych, religijnych czy seksualnych. Jednak, jak wykazywałem w swym niedawnym tekście „Dlaczego zakazy ‘mowy nienawiści’ są bez sensu?” w Stanach Zjednoczonych, gdzie zakazy „hate speech” uznawane są za sprzeczne z I Poprawką do Konstytucji wspomnianego rodzaju przestępstw z nienawiści jest – proporcjonalnie do liczby ludności tego państwa – mniej, niż w szeregu krajach, w których „hate speech” uznawana jest za przestępstwo. Dokonany przez duńskiego prawnika i obrońcę praw człowieka Jacoba Mchangamę oraz politologa Rasmusa Fonnesbaeka Andersena przegląd istniejących badań i analiza dużego zbioru danych dotyczących szeregu krajów świata wykazały, że „niektóre z najczęściej wyrażanych obaw dotyczących wolności słowa - takie jak jej potencjalny szkodliwy wpływ na konflikty społeczne (w tym ludobójstwo), radykalizację i terroryzm - nie są poparte dowodami. Jedynie w najbardziej zamkniętych społeczeństwach świata znajdujemy dowody na to, że poluzowanie cenzury może zaostrzyć istniejące konflikty. W pozostałej części świata – jak pisze Mchangama w swym artykule „How Censorship crosses borders” - znajdujemy negatywny związek między ochroną wolności słowa a konfliktami społecznymi”. Nie ma co się więc bać jakiejś „nadmiernej” wolności słowa. Choć trzeba też powiedzieć, że wolność słowa dla takich tylko słów, czy innych aktów ekspresji, które nie mogą do niczego złego prowadzić – gdyby tak ta wolność miała wyglądać – to w praktyce nie byłaby to żadna wolność słowa. Pozornie zupełnie nieszkodliwe - ani nie obraźliwe, ani do niczego nie podżegające (w dosłownym przynajmniej sensie) akty ekspresji potrafią przyczyniać się do popełnienia przez niektóre osoby makabrycznych wręcz zbrodni. Przykładowo, niejaki Heinrich Pommerenke, oglądając gdzieś w latach 50. w jednym z kin w Karlsruhe głośny wówczas amerykański film „Dziesięcioro Przykazań” – którego fragment przedstawia taniec żydowskich kobiet wokół Złotego Cielca – pojął nagle, że kobiety są źródłem wszelkiego zła na świecie, a jego misją jest ich karanie i mordowanie. Skutki obejrzenia przez wspomnianego osobnika rzeczonoego filmu? Wkrótce po wyjściu z kina zamordował on

kobietę w pobliskim parku, a później dokonał jeszcze trzech zabójstw, dwunastu usiłowań zabójstwa i dwudziestu gwałtów. W bliższych nam czasach film „Matrix” był oskarżany o przyczynienie się nie do jednego, lecz do całego szeregu morderstw, popełnionych pod wpływem jego obejrzenia przez różnych niezrównoważonych psychicznie osobników. Słyszał ktoś o pomysle, by zakazać wyświetlania czy to „Dziesięciorga Przykazań” czy „Matrixa” z tego powodu, że są dowody na to, że oglądanie tych filmów może się przyczynić do czegoś złego? Ja nie słyszałem.

Wolność słowa musi więc obejmować także takie wypowiedzi, które są potencjalnie niebezpieczne. Jeśli nawet ktoś uważa, że ich nie obejmuje, to ktoś taki rzadko – jeśli w ogóle kiedykolwiek – bywa w swych poglądach konsekwentny. Przykładowo – zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” zazwyczaj uważają, że taka „mowa” powinna być zakazana i karana z tego powodu, że może się ona przyczyniać do przestępstw z nienawiści (w rodzaju fizycznych napaści, czy przypadków zniszczenia mienia bądź zastraszania) nawet, jeśli niebezpieczeństwo wynikające z konkretnych rasistowskich, antysemitowskich czy homofobicznych wypowiedzi nie jest – ujmując rzecz w słowach sędziego Holmesa z uzasadnienia wyroku w sprawie Schenk v. United States z 1919 r. – bezpośrednie i wyraźne. Ci sami ludzie nie proponują jednak – o ile się orientuję – np. zakazu straszenia globalnym ociepleniem z tego powodu, że niektóre osoby przejęte potencjalnymi skutkami efektu cieplarnianego i przekonane do opinii, że główną przyczyną tego efektu jest ludzka działalność podpałały obwiniane niekiedy o szczególne przyczynianie się do globalnego ocieplenia samochody typu SUV, a niejacy Francisco Lotero i Miriam Coletti z Argentyny w lutym 2010 r. ze strachu przed globalnym ociepleniem zamordowali jedno ze swych małych dzieci, usiłowali zabić drugie – które cudem przeżyło – i zabili siebie. Nie domagają się też oni zakazu straszenia skutkami manipulacji genetycznych czy bio lub nanotechnologii z tego powodu, że niektórzy ludzie przekonani do opinii o potencjalnej zgubności eksperymentów genetycznych czy bio lub nanotechnologii dokonują ataków na laboratoria, w których prowadzi się eksperymenty genetyczne czy badania nad bio lub nanotechnologią. Podobnie, nie proponują oni zakazu mówienia i pisania o cierpieniach zwierząt w rzeźniach czy laboratoriach i zrównywania tego, co dzieje się w takich miejscach z tym, co działo się w hitlerowskich obozach zagłady z tej przyczyny, że takie wypowiedzi pobudzają u pewnych ludzi przekonania i emocje motywujące niektórych z nich do dokonywania takich czynów, jak podpalanie rzeźni i laboratoriów, w których dokonuje się doświadczeń na zwierzętach. Nie słyszałem też, by chcieli oni zakazać wypowiedzi oskarżających np. Światową Organizację Handlu, Bank Światowy czy Międzynarodowy Fundusz Walutowy o przyczynianie się do bezrobocia, nędzy, wyzysku i niszczenia środowiska w krajach III świata, ponieważ takie wypowiedzi mogły pobudzać przekonania i emocje prowadzące do zamieszek urządzanych przez tzw. *alterglobalistów* podczas mityngów wspomnianych instytucji. I oczywiście nie słyszałem też o tym, by proponowali oni zakaz propagandy antyrasistowskiej, czy antyfaszystowskiej z tego powodu, że niektórzy ludzie przekonani do opinii o narastającym czy odradzającym się faszystowskim zagrożeniu, do tego, że dla osób o „faszystowskich” poglądach nie może być tolerancji - nawet jeśli nie stosują one przemocy - oraz do tego, że państwo jest wobec takich ludzi nadmiernie tolerancyjne lub zwyczajnie bezradne w jakimś następstwie takich przekonań dokonywali brutalnych przestępstw – takich, jak pobicie osób

składających kwiaty na grobie przywódcy przedwojennej „Zadrugi” Jana Stachniuka na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie w dniu 11 listopada 2005 r. czy pobicie osób jadących na tzw. marsz niepodległości w Warszawie w 2010 r. Większość zwolenników „hate speech laws” w zachodnich krajach – w tym w Polsce – byłaby zapewne oburzona wysunięciem pomysłu, że krytykowanie władzy powinno być zakazane, ponieważ może ono prowadzić to wytwarzania nastrojów, w których zamachy na przywódców politycznych czy antyrządowe zamieszki stają się bardziej prawdopodobne, niż byłyby wówczas, gdyby ludzie czytali czy słyszeli o władzy same dobre rzeczy. Osoby o których mowa nie domagają się też zakazu publikowania i rozpowszechniania Biblii z tego powodu, że żadne inne dzieło nie było tak często inspiracją dla zbrodni popełnionych przez rozmaitych psychopatów, jak Pismo Święte - ani też np. Koranu, z tego powodu, że zawarte w nim myśli są podłożem islamskiego terroryzmu. W zupełnie niedawnych czasach ludzie przekonani do opinii, że tzw. technologia 5G osłabia układ odpornościowy, wywołuje raka i przyczynia się do zachorowań na koronawirusa podpalali maszty telekomunikacyjne służące jakoby sieciom telefonii komórkowej spełniającej standard 5G (w rzeczywistości większość takich masztów nie miała zainstalowanych nadajników 5G). Lecz zwolennicy zakazów „mowy nienawiści” czy też np. pornografii łączącej seks z fikcyjną choćby tylko przemocą nie domagają się – o ile mi wiadomo – wprowadzenia zakazu uprawiania propagandy wymierzonej we wspomnianą technologię. Tak czy owak, jeśli ktoś w poważny sposób chciałby zakazać wszelkich potencjalnie niebezpiecznych – mogących się przyczynić do czegoś złego rodzajów wypowiedzi – musiałby zgodzić się na cenzurę posuniętą wręcz do absurdu. W demokratycznych krajach nikt czegoś takiego w poważny sposób nie proponuje – nawet reżimy totalitarne w praktyce nie zakazują propagowania wszelkich potencjalnie niebezpiecznych idei – przeciwnie, często same takie idee szerzą. (8)

Z tego, że wolność ekspresji musi obejmować wypowiedzi mogące mieć potencjalnie szkodliwe skutki nie wynika bynajmniej to, że wolność ta powinna być absolutna. Taką być po prostu nie może – gdyż prowadziłoby to do niemożliwych do przyjęcia, na zdrowy rozum, rezultatów. Dosłownie pojęta absolutna wolność słowa prowadziłaby do bezkarności kogoś, kto w pełnym ludzi kinie czy teatrze krzyczy „pali się!” wiedząc doskonale, że nie ma tam żadnego pożaru i następnie cieszy się z widoku uciekających i tratujących się w panice ludzi. (9) Prowadziłaby do bezkarności kogoś takiego, jak raper Peja, który podczas jednego ze swych koncertów, gdy zobaczył chłopaka pokazującego mu środkowy palec zaczął krzyczeć to tłumowi: „*wiecie, co z nim zrobić! Wiecie co z nim zrobić! Rozj... w ch....*” – doprowadzając bezpośrednio do pobicia – nie tej zresztą osoby, która zachowała się wobec niego w sposób uważany, zgoda co do tego, za obraźliwy. (10) Prowadziłaby do bezkarności szantażu (wymuszenia rozbójniczego) – a przynajmniej usiłowania szantażu – ludzi przecież szantażuje się przy użyciu słów. Prowadziłaby też do bezkarności takich czynów, jak choćby oszustwa i wyłudzenia w Internecie – metodą przestępczego działania w przypadku takich czynów jest przecież publikowanie takich czy innych tekstów bądź zdjęć. Nikt za tak pojętą wolnością słowa nigdy się w poważny sposób nie opowiadał – włącznie z takimi jej koryfeuszami, jak byli sędziowie Sądu Najwyższego USA Hugo Black i William O. Douglas.

Nie kto inny, jak sędzia Black – znany ze stwierdzenia (odnośnie Pierwszej Poprawki do Konstytucji) „*no law, means no law*” – czyli, że fakt, iż I Poprawka do Konstytucji USA mówi, że nie można wprowadzić żadnego prawa ograniczającego wolność słowa lub prasy oznacza po prostu to, że nie wolno wprowadzić żadnego takiego prawa – napisał w uzasadnieniu decyzji w sprawie Giboney v. Empire Storage & Ice Co. (1949): „*Rzadko kiedy sugeruje się, że konstytucyjna wolność dla słowa i prasy rozciąga jej immunitet na wypowiedzi lub pisma użyte jako integralna część zachowania stanowiącego naruszenie konstytucyjnie właściwej ustawy karnej*”.

Nie ma co tu bliżej wchodzić w to, czego dotyczyła – bardzo ciekawa zresztą – sprawa Giboney v. Empire Storage & Ice Co (moim zdaniem sprawa ta dotyczyła paskudnego, choć zmierzającego do osiągnięcia w ostateczności zrozumiałego celu postępowania, którego pewne wypowiedzi były co najwyżej jakimś elementem). To, z czym można się zgodzić z sędzią Blackiem to to, że można czasem mówić o czymś takim, jak wypowiedzi będące integralną częścią przestępstwa (lub innego działania naruszającego prawo – niekoniecznie podlegającego sankcjom karnym). Do takich integralnie związanych z przestępczym działaniem – czy będących jego narzędziem wypowiedzi – zaliczyć można wspomniane tu stwierdzenia będące elementem takich przestępstw, jak napad rabunkowy, szantaż, czy oszustwo. Zwrócić też można uwagę na takie – niekwestionowane przecież chyba przez nikogo – przestępstwa – jak fałszywe powiadomienie policji czy innego organu ścigania o popełnieniu przestępstwa, bądź składanie fałszywych zeznań przez świadka w sądzie. Sposobem popełnienia wspomnianych przestępstw jest powiedzenie czegoś – nikt jednak nie twierdzi, że – przykładowo – kłamanie pod przysięgą w sądzie, albo informowanie policji o przestępczym zdarzeniu, o którym informujący wie, że nie miało ono miejsca – nie powinno być karalne. Podobnie z pewnością nikt nie uważa chyba, że ktoś, kto np. nie stosując wprawdzie fizycznej przemocy, ale będąc w porozumieniu z osobami dokonującymi napadu na bank stoi na czatach i ostrzega te osoby *via* telefon komórkowy przed nadjeżdżającą policją powinien móc się bronić przed karą za to, co zrobił powołując się na prawo do wolności słowa – mimo, że nie robił nic innego, jak tylko coś mówił.

Popełnienie pewnych niekwestionowanych przez (najprawdopodobniej) nikogo przestępstw może więc polegać na powiedzeniu lub czasem napisaniu czegoś – i niekiedy na niczym innym, w sensie podjęcia jakiegoś dodatkowego działania (przykładowo – do popełnienia przestępstwa szantażu konieczne jest użycie wobec kogoś groźby zamachu na życie lub zdrowie, albo gwałtownego zamachu na mienie – taka groźba jest zazwyczaj przekazywana przy użyciu słów – i doprowadzenie zastraszonej osoby do niekorzystnego rozporządzenia swoim mieniem, co zazwyczaj prowadzi do przejęcia przez szantażystę jakiejś części majątku poszkodowanego. W przypadku takich przestępstw, jak fałszywe powiadomienie organu ścigania o popełnieniu czynu karalnego czy składanie fałszywych zeznań w sądzie przestępstwem jest sama – mająca miejsce w określonej sytuacji wypowiedź. Do tego, by przestępstwo zaistniało – i to jako pełne przestępstwo, nie tylko np. usiłowanie popełnienia przestępstwa – nie jest konieczne podjęcie jakiegoś dodatkowego działania przez sprawcę przestępstwa, lub kogoś, do kogo wypowiedź była skierowana – np. sędziego wysłuchującego kłamliwych zeznań). Słowa mogą być również narzędziem takiego bezprawnego – choć w

Polsce póki co nie przestępczego (w USA generalnie rzecz biorąc również nie – jest to domena prawa cywilnego) zachowania, jak dyskryminacja np. w stosunkach pracy. Wyobraźmy tu sobie następującą sytuację: załóżmy, że w jakiejś firmie pracuje ktoś będący np. osobą L albo G albo B czy też T. Lub ktoś należący do mniejszości narodowej, rasowej czy wyznaniowej. Przypuśćmy dalej, że przełożony tej osoby ustawicznie obrzuca tę osobę wyzwiskami, odnoszącymi się do jej orientacji seksualnej, bądź narodowości, rasy czy wyznania. Takie zachowanie w sposób oczywisty jest zakazaną prawnie dyskryminacją z powodów tego rodzaju, co orientacja seksualna bądź narodowość, rasa czy wyznanie – i zachowania takiego z pewnością nie może usprawiedliwiać to, że polegało ono wyłącznie na słowach – bez podejmowania dodatkowych fizycznych działań (w rodzaju choćby niechcianego przez tę osobę dotyku).

Wypowiedzi mogą być więc czasem czymś więcej, niż tylko narzędziem wyrażania poglądów czy przekazywania informacji – mogą być narzędziem szkodliwego i słuszenie uznawanego za bezprawne działania. Choć również w przypadku przynajmniej niektórych ze wspomnianych powyżej rodzajów wypowiedzi można twierdzić, że są one sposobem wyrażania pewnych opinii. Weźmy tu np. wspomniany powyżej *casus* rapera Pei: czy krzycząc podczas jednego ze swych koncertów do chłopaka, który pokazał mu środkowy palec i następnie do obecnego na koncercie tłumu Peja nie wyrażał jakiejś opinii na temat zachowania rzeczzonego chłopaka i tego, jak inni powinni na to zachowanie zareagować? Czy szef w zakładzie pracy obrzucający obelgami swego podwładnego nie wyraża swej opinii o nim? Albo czy w przypadku, gdy ktoś taki atakuje słownie podległą mu osobę z powodu jej rasy, wyznania czy orientacji seksualnej nie wyraża generalnej opinii o pewnych grupie ludzi – takiej, jak jakaś grupa rasowa, wyznaniowa czy grupa osób odznaczających się jakąś orientacją seksualną? Wydaje mi się zatem, że takie wypowiedzi powinny znajdować się poza obszarem prawnej tolerancji nie dlatego, że nie wyrażają one żadnych opinii, gdyż twierdzenie takie – przynajmniej w odniesieniu do wspomnianych w tym miejscu przeze mnie przykładów – byłoby po prostu nieprawdziwe. Powodem uzasadniającym nietolerowanie takich wypowiedzi jest raczej to, że bezpośrednio i – dodajmy to tego – w zamierzony przez ich autorów sposób prowadzą one do szkód, którym nie da się zapobiegać inaczej, niż poprzez zakazy takich wypowiedzi – a więc np. przez dyskusję, perswazję, zbijanie takich czy innych argumentów, prostowanie przedstawianych faktów, ośmieszanie zawartych w takich wypowiedziach stwierdzeń, czy też poprzez istnienie i działanie prawa, karzącego za dokonywanie szkodliwych i krzywdzących ludzi czynów – takich, jak akty przemocy i niszczenia mienia – także te, u których podłoża leży przekonanie ich sprawców do jakichś opinii – ale nie za głoszenie opinii, mogących się niekiedy stać podłożem takich czynów. Wspomniany tu raper Peja swą wypowiedzią doprowadził do praktycznie natychmiastowego popełnienia przestępstwa. Popełnieniu przestępstwa, do którego Peja wzywał nie mogła zapobiec ani dyskusja, ani interwencja policji czy (np.) służby porządkowej, która by ochroniła kogoś, przeciwko komu podlegająca wypowiedź Pei była skierowana przed fizyczną agresją. Zwróćmy też uwagę na to, jak przebiegała droga od wypowiedzi Pei do popełnienia przestępstwa podczas jednego z jego koncertów. A przede wszystkim na to, jak droga ta na pewno *nie* przebiegała. Z pewnością nie przebiegała ona w taki sposób, że pod wpływem wypowiedzi Pei jego słuchacze nabrali pewnych przekonań i – po zastanowieniu się nad tym, co i dlaczego chcieliby zrobić –

postanowili podjąć działanie niezgodne z prawem. Raczej, przebiegała ona na skróty – z pominięciem procesów refleksji nad treścią wypowiedzi i bez głębszego zastanawiania się przez odbiorców wypowiedzi Pei nad podejmowanym przez nich działaniem i jego możliwymi – czy to dla ofiary, czy też dla nich samych - konsekwencjami. Gdyby wypowiedź Pei (czy podobna do niej) miała miejsce w innych okolicznościach najprawdopodobniej nie miałyby ona takich – jak faktycznie miała – skutków. Wyobraźmy sobie, że Peja, zamiast podburzać tłum obecny na jego koncercie do pobicia chłopaka, który pokazał mu środkowy palec, w rozmowie z przedstawicielem prasy wyraziłby opinię, że ktoś, kto pokazał mu środkowy palec podczas jego koncertu, powinien zostać zlinczowany. Jaki byłby efekt takiej jego wypowiedzi? Otóż – na zdrowy rozum – przede wszystkim taki, że stałby się on obiektem drwin. Za jego wypowiedź ukarałaby go opinia publiczna. W tym jednak przypadku, w którym faktyczna wypowiedź Pei miała miejsce sformułowana przez sędziego Sądu Najwyższego USA Louisa Brandeisa w jego opinii w sprawie Whitney v. California zasada, że sposobem przeciwdziałania negatywnym konsekwencjom, do których mogą prowadzić takie czy inne wypowiedzi powinno być *powiększenie wypowiedzi (more speech)*, a nie narzucone milczenie, nie mogła mieć zastosowania, gdyż czegoś takiego, jak możliwość pełnej dyskusji nad słowami Pei z pewnością tam nie było. Najogólniej rzecz biorąc o takich wypowiedziach, jak wypowiedź rapera Pei podczas koncertu w Zielonej Górze w 2009 r. można powiedzieć to, że uzasadnionym powodem ich karalności jest nie to, że nie wyrażają one opinii – bo mimo wszystko jakies opinie wypowiedzi tego rodzaju wyrażają – lecz raczej to, że mają one bezpośrednie, konkretnie szkodliwe i zamierzone przez ich autorów skutki, którym nie sposób jest próbować zapobiec w inny sposób, jak poprzez zagrożenie takich wypowiedzi stosowną karą. Podobnie też zasada „*more speech, not enforced silence*” (więcej mowy, nie wymuszonego milczenia) nie jest dostatecznym remedium na szkody, do których prowadzą wypowiedzi tego rodzaju, co uporczywe, werbalne dręczenie konkretnych osób, czy wywołujące strach przed ich spełnieniem groźby przemocy – gdyż szkoda w postaci krzywdy psychicznej (tj. wywołania uczucia udręczenia czy strachu przed przemocą) wywoływana jest w tych przypadkach bezpośrednio wraz z dotarciem wypowiedzi do jej adresata.

W pewnych przypadkach w uzasadniony sposób zakazanych wypowiedzi szkody, którym zakazy tego rodzaju wypowiedzi mają przeciwdziałać nie są czymś natychmiastowym – czy prawie natychmiastowym – i - teoretycznie rzecz biorąc – szkodom tym można byłoby zapobiec poprzez, jak wyraził się niegdyś sędzia Brandeis, „*powiększenie wypowiedzi*”. Weźmy tu przykład świadka kłamiącego w sądzie. Powodem zakazu składania fałszywych zeznań przez świadków jest chęć zapobieżenia wydawaniu niesprawiedliwych wyroków (czy to w postaci skazania kogoś niewinnego, czy też uniewinnienia winnego) do czego takie zeznania mogą prowadzić. Ale może tak się stać – i z pewnością stało się to nieraz – że po tym, jak świadek złoży fałszywe zeznania inny świadek – czy iluś świadków – złoży zeznania, z których będzie jasno wynikało, że zeznania pierwszego (niekoniecznie przy tym występującego jako pierwszy) świadka nie mogły być zgodne z prawdą. W takim przypadku fałszywe zeznania świadka nie doprowadzą do wydania przez sąd niesprawiedliwego, nieopartego na prawdziwych faktach wyroku.

Nikt jednak nie uważa – w każdym razie ja się nie spotkałem z takim poglądem – że fałszywe zeznania świadków w sądzie powinny być bezkarne, jeśli nie doprowadziły do wydania wyroku nieopartego na prawdzie. Z czego to jednak wynika? Otóż, chociażby z tego, że sala sądowa nie jest forum swobody wypowiedzi w tym samym przynajmniej sensie, w jakim jest są nim ogólnie dostępne miejsca publiczne, w jakim są w nim miejsca prywatne za zgodą ich właścicieli, w jakim jest nim drukowana prasa, czy też w jakim w obecnych czasach jest nim Internet. Wypowiedzi świadków w sądzie podlegają bardzo ścisłym regułom. Świadek, owszem, powinien cieszyć się swobodą wypowiedzi w tym sensie, że powinien móc spokojnie powiedzieć to, co ma do powiedzenia – bez np. zastraszania go. Z pewnością jednak nie powinien cieszyć się on swobodą wypowiedzi w tym sensie, że może on mówić to, co tylko mu się chce – tj. np. przedstawiać fakty, które nie miały miejsca. Owszem, myślę, że może być rzeczą jak najbardziej właściwą łagodne potraktowanie świadka, który przed sądem mówił jakieś niewiarygodne bzdury, które do wydania nieopartego na rzeczywistych faktach wyroku nie mogły doprowadzić. Generalnie jednak rzecz biorąc kłamstwa świadków w sądzie dopuszczalne być nie mogą. Wynika to z tego, że jakkolwiek w postępowaniach sądowych coraz ważniejsze są dowody tego choćby typu, co np. wyniki badań DNA, to wciąż olbrzymią rolę odgrywają w nich – i pewnie zawsze będą odgrywać - zeznania świadków. Przyzwolenie na to, by świadkowie mogli kłamać przed sądem (czy też np. w postępowaniu przygotowawczym) byłoby *de facto* przyzwoleniem na wydawanie niesprawiedliwych – w sensie ich niezgodności z faktami – wyroków, co byłoby równoznaczne z destrukcją najbardziej podstawowych zasad państwa prawa. Do czegoś takiego w oczywisty sposób nie można dopuścić.

Z podobnych, jak w przypadku składania przez kogoś fałszywych zeznań generalnie rzecz biorąc usprawiedliwiona jest karalność składania do organów ścigania doniesień o przestępstwach, których nie popełniono i świadomie fałszywego oskarżenia przed takimi organami osób, które czynów prawnie zakazanych nie popełniły. Popełnianie wspomnianych przestępstw w oczywisty sposób polega – bo musi polegać – na słowach. Jednak przyzwolenie na komunikowanie – w określonych okolicznościach – stanowiących rzeczony przestępstwa prowadziłyby do tego, że organa ścigania musiałyby prowadzić czynności w kierunku znalezienia dowodów przestępstw, które nie zostały popełnione – kosztem ścigania przestępstw, które faktycznie miały miejsce – zaś konkretni ludzie cierpieliby skutki bezpodstawnych oskarżeń. Kryminalizacja takich, jak wspomniane tu słownych działań jest więc – pomijając jej marginesy (tego np. rodzaju, że ktoś składa zawiadomienie o przestępstwie, które jest w oczywisty sposób niewiarygodne) – całkowicie uzasadniona.

Pewien – można twierdzić – zakaz wypowiedzi – mających określony cel i zdarzających się w pewnych określonych okolicznościach przewiduje art. 230 § 1 kodeksu karnego, stanowiący, że *„Kto, powołując się na wpływy w instytucji państwowej, samorządowej, organizacji międzynarodowej albo krajowej lub w zagranicznej jednostce organizacyjnej dysponującej środkami publicznymi albo wywołując przekonanie innej osoby lub utwierdzając ją w przekonaniu o istnieniu takich wpływów, podejmuje się pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub osobistą albo jej obietnicę, podlega karze pozbawienia wolności od 6 miesięcy do lat 8”* (lub w przypadku mniejszej wagi karze grzywny,

ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat 2 zgodnie z § 2). Jakby nie było – powoływać się na wpływy w instytucji państwowej czy jeszcze innej można praktycznie rzecz biorąc tylko przy użyciu słów. W istocie rzeczy tylko przy użyciu słów można też wywoływać przekonanie innej osoby o posiadaniu takich wpływów bądź utwierdzać ją w takim przekonaniu. I nie na czym innym, jak na słowach musi być oparte podjęcie się przez sprawcę przestępstwa z art. 230 k.k. pośrednictwa w załatwieniu sprawy w zamian za korzyść majątkową lub osobistą albo jej obietnicę – zauważmy tu przy tym, że w przypadku tylko obietnicy korzyści majątkowej lub osobistej przestępstwo określone w przepisie, o którym jest tu mowa jest przestępstwem czysto słownym – nie ma w nim żadnego niekomunikacyjnego aktu (który występuje, owszem, w przypadku udzielenia sprawcy tego przestępstwa faktycznej korzyści majątkowej lub osobistej w zamian za podjęcie się przez niego pośrednictwa w załatwieniu takiej czy innej sprawy). Jednak, mimo, że art. 230 k.k. przewiduje karę za pewne – mające miejsce w szczególnych warunkach – wypowiedzi – a właściwie rozmowy – nikt chyba nie uważa tego przepisu za ograniczenie wolności słowa. Raczej, wypowiedzi będące niezbędnym środkiem popełnienia określonego we wspomnianym przepisie przestępstwa uważa się za szkodliwe działania, łatwo mogące prowadzić do nieprawidłowości w pracy takich czy innych instytucji, a także mogące (choć nie muszą) mieć znamiona oszustwa. I biorąc inny przykład – art. 229 k.k. – jest w nim 6 paragrafów, nie rozdrabniajmy się na nie - przewiduje karę dla kogoś, kto udziela albo obiecuje udzielić korzyści majątkowej lub osobistej osobie pełniącej funkcję publiczną w związku z pełnieniem tej funkcji (w przypadku określonym w art. 229 § 3 mowa jest o działaniu mającym skłonić osobę pełniącą funkcję publiczną do naruszenia przepisów prawa lub udzieleniu albo obietnicy udzielenia takiej osobie korzyści majątkowej lub osobistej za naruszenie przepisów prawa). Jakby nie było – złożyć osobie pełniącej funkcję publiczną obietnicę korzyści majątkowej lub osobistej można tylko przy użyciu słów. Nic poza słowami nie jest potrzebne do popełnienia przestępstwa określonego w art. 229 k.k., gdy w grę wchodzi tylko obietnica udzielenia urzędnikowi korzyści majątkowej lub osobistej, a nie faktyczne udzielenie takiej korzyści. Znow więc – we wspomnianym tu przepisie mamy do czynienia z przestępstwem czysto słownym – przynajmniej wówczas, gdy przestępstwo to polega na jedynie obietnicy udzielenia korzyści majątkowej lub osobistej urzędnikowi, bez jeszcze faktycznego jej udzielenia. Czy jednak ktokolwiek uważa przepis przewidujący karę za tzw. czynną korupcję – choćby w tym zakresie, w jakim zabrania on udzielania jedynie obietnicy korzyści majątkowej czy osobistej osobie pełniącej funkcję publiczną – za naruszenie wolności słowa? Mi coś takiego nigdy nie przyszło do głowy – i nie spotkałem się z taką sugestią.

Jak więc widać, w prawie polskim (do niego się odnoszę, bo żyjemy w Polsce i w prawie tym bądź co bądź najlepiej się orientuję) i niewątpliwie też innych krajów występują przestępstwa, czy też delikty prawnocivilne, które można popełnić wyłącznie przy użyciu słów i których istnienia nikt jednak – jak przypuszczam - nie uważa za ograniczenie swobody wypowiedzi. Co jednak generalnie rzecz biorąc charakteryzuje wypowiedzi stanowiące wspomniane tu (przykładowo) przestępstwa czy delikty? Otóż, myślę, że wszystkie je charakteryzuje to, że nie są one częścią ogólnego, społecznego dyskursu, którego swobodę prawo do wolności słowa w pierwszym rzędzie ma chronić. Nie są częścią takiego dyskursu fałszywe zeznania

świadców w sądzie, nie są nimi fałszywe donosy do organów ścigania o niepopelnionych w rzeczywistości przestępstwach, nie są nimi korupcyjne propozycje, nie są też nimi wypowiedzi będące niezbędnym elementem takich przestępstw, jak szantaż czy oszustwo. Lecz z pewnością częścią takiego dyskursu są treści publikowane w gazetach czy na stronach internetowych – czy też formułowane przy takich choćby okazjach, jak publiczne wiece. To nie znaczy też, że te ostatnie wypowiedzi powinny cieszyć się bezwzględna, niczym nieograniczoną w każdym przypadku swobodą. Sądzę, że ludzie powinni móc się bronić na drodze sądowej przed skutkami kłamliwych pomówień – również oczywiście wtedy, gdy pomówienia te ukazują się w mediach. Powinni móc się bronić przed rozpowszechnianiem pewnych prywatnych informacji na ich temat, jeśli ktoś rozpowszechniający te informacje był w szczególny sposób zobowiązany do zachowania ich w tajemnicy (mam tu na myśli np. tajemnicę lekarską). Czymś – sądzę – zakazanym powinna być oszukańcza reklama handlowa (jeśli da się udowodnić, że faktycznie skłoniła ona jakąś osobę do np. kupna towaru, którego osoba ta nie nabyłaby, gdyby posiadała na jego temat prawdziwe informacje) – gdyż jest ona *de facto* formą złodziejstwa. Generalnie rzecz biorąc nie ma jednak – moim zdaniem – wątpliwości co do tego, że to, co ukazuje się na stronach internetowych lub stronach gazet jest bądź informacją, bądź też opinią (pomińmy tu nieprzekazujące „merytorycznych” treści elementy graficzne – w tym takie, jak np. kolor strony – czasem się zastanawiam, dlaczego swoją stronę internetową zrobiłem kiedyś na czarno – strona z kawałkami muzycznymi jest dla odmiany żółta) – a nazywanie tego w inny sposób – np. dyskryminacją, czy też może – bo i takie określenia się spotyka – przemocą słowną (czy też „symboliczną”) (11) jest manipulacją, co najwyżej w nieudolny sposób usiłującą zatrzeć fakt, że w przypadkach, o których jest tu mowa mamy do czynienia z informacjami (prawdziwymi bądź nie) i opiniami – i w gruncie rzeczy niczym więcej. (12)

Formą wyrażania opinii – moim zdaniem moralnie nagannej, ale to przecież nie zmienia faktu, że to jest opinia – było opublikowanie swego czasu w „Gazecie Polskiej Codziennie” naklejek z przekreśloną tęcza flagą i napisem „Strefa wolna od LGBT”. To w każdym razie jest moje zdanie. Lecz studenci UW r stwierdzili – jak była tu już mowa – że treści publikowane w GPC nie są opiniami, lecz dyskryminacją. W ten jednak sposób też wyrazili oni swą opinię na ich temat. Jest to moim zdaniem opinia oparta na manipulacji pojęciem „dyskryminacja” – które w poważnym znaczeniu może oznaczać czyny tego rodzaju, jak gorsze traktowanie pewnych ludzi z powodu ich np. rasy, płci, orientacji seksualnej, wyznania itd. w takich dziedzinach, jak stosunki pracy czy dostęp do publicznie świadczonych usług, ale nie takie, jak napisanie w gazecie czy na stronie internetowej czegoś brzydkiego, obraźliwego czy nawet nienawistnego na temat jakiejś grupy, co jednak nie powoduje tego, że członkowie takiej grupy tracą równe z innymi prawa w takich, jak wspomniane powyżej (czy jeszcze innych) dziedzinach – ale mimo wszystko jest to opinia.

Twierdzenie, że jakaś opinia nie jest opinią, czy że jakaś wypowiedź nie jest tak naprawdę wypowiedzią nie implikuje w sposób automatyczny – nie w każdym, moim przynajmniej zdaniem, przypadku – wniosku, że dana opinia czy wypowiedź powinna być przedmiotem prawnego zakazu. Weźmy sobie w tym kontekście wspomniane już twierdzenie amerykańskiego prawnika Fredericka Schauera, że twarda pornografia nie różni się od np.

wibratora (czy też seks-lalki), lub po prostu od samego seksu. Prof. Schauer wyraził kiedyś taką myśl chcąc uzasadnić pogląd, że tzw. obsceniczność słusznie uznawana jest przez Sąd Najwyższy USA za taką kategorię ekspresji, która nie jest chroniona przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji. (13) Ale jeśli nawet ktoś by się zgodził z prof. Schauerem, że twarda pornografia ma więcej wspólnego z narzędziami służącymi do seksualnego zaspokajania się czy z samym seksem, niż z wyrażaniem jakichś poglądów czy przekazywaniem informacji to ten ktoś mógłby przecież powiedzieć: zaraz, zaraz! w wolnym społeczeństwie coś takiego, jak sprzedażibratorów i innych podobnych produktów nie jest przecież, i nie powinno być czymś zakazanym. Podobnie też seks – jeśli ma miejsce między dorosłymi i zgadzającymi się na to osobami – nie jest rzeczą zabronioną (choć oczywiście też nie chronioną przez akurat I Poprawkę do amerykańskiej Konstytucji). Dlaczego więc pornografia miałaby być zakazanym z tego powodu, że czymś podobnym do seksu – bądź nawet z takiego powodu, że niczym się tak naprawdę od niego nie różni? (no, oczywiście różni się – ale to inna sprawa). Podobnie też z twierdzenia, że coś jest dyskryminacją nie wynika – moim zdaniem – w sposób automatyczny to, że to coś powinno być zabronione. Są, owszem, rodzaje dyskryminacji, które w demokratycznych krajach generalnie rzecz biorąc są – i powinny być – prawnie zakazane. Zakazana powinna być – w pierwszym rzędzie – dyskryminacja ludzi z powodu rasy, płci, wyznania, orientacji seksualnej, poglądów itd. przez samo państwo. Zasadne – jak myślę – jest zakazywanie dyskryminacji w takich dziedzinach, jak stosunki pracy, czy dostęp do usług. Lecz zakazy pewnych – można przecież twierdzić – rodzajów dyskryminacji byłyby po prostu niedorzeczne. Nikt nie proponuje chyba zakazu stosowania dyskryminacji – także z takich powodów, jak czyjaś rasa, czy orientacja seksualna – w takich dziedzinach, jak dobór znajomych i przyjaciół, bądź życie seksualne. Moim zdaniem – choć z pewnością nie jest to już zdanie nie kontrowersyjne – nie powinno być też zakazane istnienie organizacji – np. stowarzyszeń czy partii politycznych – które dopuszczają członkostwo w nich tylko osobom należącym do jakiejś określonej grupy rasowej, narodowej, wyznaniowej, czy też odznaczających się określoną orientacją seksualną itp. lub wykluczających możliwość przynależności do niej członków jakiejś określonej grupy bądź grup. Tak więc ze zdania, że jakieś wypowiedzi nie są wypowiedziami – nawet, gdyby takie zdania miały jakiś sens – nie wynika według mnie to – a w każdym razie nie wynika to w sposób automatyczny – że te wypowiedzi powinny być zabronione. Lecz to jest mimo wszystko... moje zdanie. Prawda jest bowiem taka, że jeśli ktoś nazywa jakieś wypowiedzi nie – wypowiedziami (czy opinie nie – opiniami) lecz np. dyskryminacją, czy też – bo i to się zdarza – przemocą, to z reguły opowiada się on za zakazem takich wypowiedzi. A w każdym razie wyraża do nich wrogi stosunek.

Oczywiście, wrogość w stosunku do jakichś poglądów, czy rodzajów ekspresji nie implikuje w sposób automatyczny tego, że te poglądy czy rodzaje ekspresji powinny zostać zabronione. Rzeczywista wolność słowa to wolność dla wyrażania myśli, których ludzie nienawidzą. Wolność słowa tylko dla takich opinii, które nikogo nie wzburzają czy nie drażnią to żadna wolność. Wolność słowa nie musi istnieć jako jakieś szczególne prawo, by takie opinie mogły być bez przeszkód wyrażane, z tego względu, że opinii takich nikt i tak nie będzie próbował zakazać, tak więc obrona prawa do wypowiadania takich opinii poprzez odwoływanie się do prawa do swobody wypowiedzi nie jest w praktyce do niczego potrzebna. Tak czy owak, dla

kogoś, kto choćby w jakimś stopniu wyczulony jest na kwestię respektowania prawa do swobody wypowiedzi najzupełniej oczywiste jest to, że brak akceptacji dla jakichś treści nie jest dostatecznym powodem do tego, by rozpowszechniania czy publikowania tych treści zabronić. Można być pewnym, że sędziowie Sądu Najwyższego USA absolutnie nie akceptowali w sensie moralnym wielu wypowiedzi, które uznali za chronione na podstawie I Poprawki do amerykańskiej Konstytucji. Nie ma wątpliwości co do tego – na co wskazują choćby wcześniejsze orzeczenia uznające za niekonstytucyjne takie czy inne przejawy dyskryminacji rasowej – że nie uważali oni za moralnie akceptowalną wypowiedź niejakiego Clarence’a Brandenbura, który podczas filmowanego z jego inicjatywy spotkania członków Ku Klux Klanu powiedział, że *„Klan ma więcej członków w stanie Ohio, niż jakakolwiek inna organizacja. Nie jesteśmy organizacją rewanżystowską, lecz jeśli nasz Prezydent, nasz Kongres i nasz Sąd Najwyższy będą nadal dławić białą, Kaukaską rasę jest możliwe, że jakiegoś rewanżu trzeba będzie dokonać”*, a także, że *„Czarnuchy powinny zostać odesłane do Afryki, a Żydzi do Izraela”*. Z pewnością nie uważali też oni, by rzeczą moralnie właściwą było *„propagowanie obowiązku, konieczności bądź właściwości przestępstwa, sabotażu, przemocy lub bezprawnych metod terroryzmu jako środka doprowadzenia do reform politycznych lub przemysłowych”* względnie też *„dobrowolne zgromadzenie się z towarzyszeniem, grupą lub zbiorowiskiem osób, sformułowanym w celu nauczania lub propagowania doktryn kryminalnego syndykalizmu”* a jednak uznali skazanie Clarence’a Brandenbura na podstawie ustawy stanu Ohio o „kryminalnym syndykalizmie” i samą tę ustawę za niezgodne z I i XIV Poprawką do Konstytucji. (14) Niewątpliwie też byli oni zdania, że napis *„fuck the draft”* – czyli „pierdolić pobór” - widniejący na kurtce niejakiego Paula Cohena, w której przyszedł on do (byłego) Sądu Muncypalnego w Los Angeles jest wulgarny i nieprzyzwoity – niemniej jednak uznali oni, że I Poprawka do Konstytucji chroni prawo Cohena do chodzenia w kurtce z takim napisem. (15) Byli też niewątpliwie takiego samego zdania o słowach przeciwnika wojny w Wietnamie Johnny’ego C. Wilsona, który krzyczał do aresztujących go w związku napaścią i pobiciem podczas zamieszek pod kwaterą główną 12 Korpusu Armii USA policjantów takie teksty, jak *„Ty biały skurwysynu, zabiję cię!”* *„Ty skurwysynu, uduszę cię na śmierć!”* i *„Ty skurwysynu, jeśli jeszcze raz położysz na mnie ręce, potnę cię na kawałki”*, lecz uznali, że obowiązujący w stanie Georgia przepis, który przewidywał karę dla kogoś, kto *„bez prowokacji, kieruje do innej osoby lub wypowiada o niej i w jej obecności obraźliwe słowa lub używa obelżywego języka, skłaniającego do zakłócenia spokoju”* jest zbyt szeroki, ponieważ interpretacja tego przepisu przez sądy stanowe Georgii w sposób wyraźny pozwalała na skazanie na jego podstawie kogoś, kto wprawdzie skierował do kogoś innego obraźliwe słowa, ale osoba do której te słowa były kierowane nie miała możliwości odpowiedzenia natychmiastową przemocą i co za tym idzie, przepis ten nie zabraniał wypowiadania wyłącznie takich słów, które mają *„bezpośrednią tendencję do wywoływania aktów przemocy ze strony osoby, do której indywidualnie adresowana jest uwaga”* – co zdaniem sędziego Brennana, autora opinii większości Sądu w sprawie Gooding v. Wilson z 1971 r. stanowi istotę *„słów walczących”* (*fighting words*), które zgodnie z wyrokiem w sprawie Chaplinsky v. New Hampshire z 1942 r. uznawane są za rodzaj wypowiedzi nie chroniony przez I Poprawkę. (16) Z pewnością nie uważali oni za moralnie dopuszczalną parodię pewnej reklamy, według której niejaki Jerry Falwell, znany tele-kaznodzieja i przywódca bardzo wpływowego w swoim czasie

konserwatywnego ruchu politycznego „Moralna Większość” przeżył swój „pierwszy raz” z mamusią w miejscu, do którego, jak to się mówi, nawet król chodzi piechotą – uznali jednak, że parodia ta była chroniona przez I Poprawkę i stwierdzili, że Falwell nie może uzyskać odszkodowania za krzywdę emocjonalną, spowodowaną jej opublikowaniem. (17) Byli też niewątpliwie zdania, że czymś moralnie nagannym jest palenie flagi amerykańskiej, a także palenie krzyża (co uważane jest za symbol Ku Klux Klanu), a jednak uznali, że zarówno jedno, jak i drugie jest formą ekspresji chronioną przez I Poprawkę do Konstytucji (z tym, że palenie krzyża może być uznawane za przestępstwo w takich przypadkach, w których jego widocznym celem jest zastraszenie jakiejś osoby lub grupy osób – nie może być natomiast karane wówczas, gdy ma na celu bardziej ogólną prezentację rasistowskiej ideologii). (18) W 1978 r. sędziowie federalnego Sądu Apelacyjnego w Chicago, orzekając w sprawie zgodności z I Poprawką do Konstytucji przepisów, jakie miasto (formalnie rzecz biorąc wieś – ang. *village*) Skokie koło Chicago uchwaliło w celu niedopuszczenia do przeprowadzenia w nim demonstracji partii neonazistowskiej – w tym m.in. przepisu, według którego przestępstwem zagrożonym karą do 6 miesięcy więzienia i/lub grzywną do 500 \$ miało być rozpowszechnianie w tym mieście materiałów promujących nienawiść i podlegających do nienawiści przeciwko osobom z powodu ich rasy, pochodzenia narodowego lub wyznania – napisali (powtarzając zresztą zdanie z uzasadnienia orzeczenia sądu I instancji) że *„jeśli jakaś filozofia powinna być uważana za całkowicie nie do przyjęcia dla cywilizowanego społeczeństwa, to jest nią filozofia wnoszących powództwo, którzy choć jako świadkowie wyparli się jakiegokolwiek poparcia dla ludobójstwa, to mimo wszystko celowo utożsamili się z reżimem, którego brutalność i barbarzyństwo nie ma sobie równych we współczesnej historii”* - niemniej jednak stwierdzili oni, że *„jeśli prawa obywatelskie (takie, jak prawo do swobody wypowiedzi) mają pozostać żywotne dla wszystkich, to muszą chronić nie tylko tych, których społeczeństwo akceptuje, lecz także tych, których idee w całkiem usprawiedliwiony sposób odrzuca i którymi gardzi”*. (19) Jak więc widać, można być zdania, że jakieś wypowiedzi są czymś zasługującym na moralne potępienie, a jednocześnie bronić prawa do takich wypowiedzi. Dla mnie jest to oczywiste – lecz w taki sposób myśli, jak sądzę, względnie mało kto.

Z pewnością nie myślą w ten sposób studenci UWr, których wzburzył sam fakt udostępnienia przez uczelnię dostępu do strony internetowej publikującej ich zdaniem niewłaściwe treści „Gazety Polskiej Codziennie”. Oczywiście, wspomnianymi studentami można by się było nie przejmować. Lecz wroga według wszelkiego prawdopodobieństwa postawa owych studentów wobec myśli o wolności dla stwierdzeń, które oni sami odrzucają nie jest, jak się wydaje, czymś wyjątkowym, lecz raczej czymś – niestety, jak się zdaje, całkiem symptomatycznym. Odnotowane zostało, że podobną postawę nader często wykazują studenci amerykańscy – żyjący przecież w kraju, gdzie ochrona wolności słowa nie ma sobie równej na świecie. Jak w swoim opublikowanym już pośmiertnie artykule „The Right to Shout Fire in a Crowded Theatre: Hateful Speech and the First Amendment” pisał Ronald D. Rotunda *„wiemy z doniesień prasowych, że jeśli studenci uniwersyteccy nie zgadzają się z punktem widzenia prezentowanym przez mówcę, to protestują, często gwałtownie. Ostatnie badania pokazują, że protestujący nie są tylko niewielką, lecz głośną mniejszością. Przeciwnie, stanowią oni większość”*. Jak pisał dalej prof. Rotunda *„Jeśli zbadamy Demokratów, Republikanów lub*

Niezależnych, okaże się, że mniej niż połowa uważa, iż Pierwsza Poprawka chroni wypowiedzi, które uczniowie uważają za 'mowę nienawiści'. Znaczna liczba studentów, niezależnie od przynależności politycznej, uważa, że przeszkadzanie mówcy jest całkowicie właściwe, tak, aby nikt z publiczności go nie słyszał. Jedna piąta wszystkich studentów uważa, że przemoc jest właściwa, aby uniemożliwić mówcy w ogóle przemawiać. W 1984 r. dwadzieścia procent studentów uważało, że uniwersytety powinny zakazać przemawiania tym mówcom, których wyrażają poglądy uznawane za skrajne. Do 2015 r. odsetek ten wzrósł ponad dwukrotnie do czterdziestu trzech procent”.

Wygląda więc na to, że będące niejako pewnym zagajeniem tego tekstu zdarzenie na Uniwersytecie Wrocławskim nie było jedynie jakimś odosobnionym – i nieważnym *per se* - incydem, lecz stanowiło ono raczej wyraz całkiem szeroko – i coraz wręcz szerzej – rozpowszechnionych postaw. Nie od rzeczy będzie tu zauważyć, że postawy, które są podłożem czy to wspomnianych tu wcześniej zdarzeń na UWr czy incydentów, o których w swym tekście wspominał prof. R. Rotunda są postawami ludzi młodych – a jeszcze konkretniej mówiąc – młodej inteligencji, której jakaś część może za pewien czas stanowić elitę władzy.

Skąd takie postawy się biorą i dlaczego zyskują większą, niż kiedyś popularność? To pytanie jest, myślę, niezmiernie ważne, lecz nie będę próbował na nie odpowiedzieć – do tego trzeba psychologa społecznego czy socjologa. Spróbujmy natomiast – choć oczywiście mogą to być póki co tylko przypuszczenia i spekulacje – wyobrazić sobie, do czego takie postawy mogą ewentualnie w przyszłości doprowadzić. Cokolwiek pomocny może być w tym opublikowany w 2018 r. przez duńskiego prawnika i obrońcę praw człowieka Jacoba Mchangamę tekst *„Imagining a World without Free Speech”* – czyli *„Wyobraźmy sobie świat bez wolności słowa”*. Mchangama w tym tekście pisze o hipotetycznym – póki co – świecie – mając na myśli przede wszystkim demokratyczne państwa (systemami autorytarnymi, które wolności słowa i tak nie respektują, praktycznie się on w nim nie zajmuje) – w którym prawo do swobodnego wypowiedzania się – jako jedno ze szczególnie chronionych praw ludzkich – zostało zniesione. W wyobrażonej przez Mchangamę sytuacji *„W Stanach Zjednoczonych pierwsza poprawka została uchylona, aby lepiej odzwierciedlić różnorodność i doświadczenia grup tradycyjnie marginalizowanych i pozbawionych władzy. W Europie zaniepokojeni przywódcy demokratyczni usunęli ochronę wolności słowa z konwencji praw człowieka, aby usunąć platformę dla odradzającej się populistycznej ksenofobii i etnonacjonalizmu”*.

Do czego by takie posunięcia doprowadziły? Mchangama tak wyobraził sobie sytuację istniejącą – powiedzmy – ok. 10 lat po zniesieniu prawa do wolności słowa. *„W tym nowym środowisku prawnym ustawodawstwo stanowe w przybrzeżnych częściach Stanach Zjednoczonych, w tym w Nowym Jorku, Massachusetts i Kalifornii, przyjęło przepisy zakazujące wywoływania „niepokoju emocjonalnego” poprzez obrażanie osoby na podstawie rasy, koloru skóry, pochodzenia, narodowości lub pochodzenia etnicznego, orientacji seksualnej, płci, tożsamości płciowej lub religii. Oprócz grup białej supremacji i skrajnej prawicy, prawa te były wykorzystywane do ścigania członków Tea Party i zwolenników ostrzejszych przepisów imigracyjnych. Większość postępowań dotyczy obelg w mediach społecznościowych, gdzie sarkazm i humor nie zawsze są skuteczną obroną. Zaprzeczanie lub*

banalizowanie niewolnictwa czarnych Afrykanów również zostało uznane za przestępstwo. Ustawom tym nadano więcej zębów dzięki ustanowieniu Komisji Praw Człowieka uprawnionych do pomocy ofiarom w składaniu skarg. Uniwersytety publiczne przyjęły rozbudowane kodeksy mowy, które regulują mowę i zachowanie na kampusach. Po wielu strzelaninach w szkołach propagowanie działań, które mogą nasilać przemoc z użyciem broni, zostało zabronione, skutecznie zakazując działalności NRA” (National Rifle Association – Krajowe Stowarzyszenie Strzeleckie).

„Lecz na Południu – jak pisał dalej Mchangama – sprawy potoczyły się inaczej. Stany takie jak Alabama, Zachodnia Wirginia i Missisipi przyjęły przepisy zakazujące oczerniania Konstytucji, symboli i podstawowych wartości Stanów Zjednoczonych. Te przepisy zostały wykorzystane do zakazania lub ścigania członków grup takich jak Black Lives Matter, Antifa i CAIR. Protestowanie przeciwko tym działaniom okazało się trudne, ponieważ kilka najwyższych sądów najwyższych orzekło, że demonstracje na rzecz zakazanych grup same w sobie stanowią oczernianie. W związku z tym demonstracjom można zakazać, a protestujących aresztować”.

Dalej, w wizji przedstawionej przez Jacoba Mchangamę „Kilka stanów w sposób wyraźny zakazało przyjmowania, popierania lub obrony prawa szariatu, w wyniku czego aresztowano i oskarżono wielu imamów. Stany te zabroniły również budowy meczetów i zakazały muzułmanom piastowania urzędów publicznych. Niektóre rady miejskie zakazały parad gejowskich, podczas gdy inne zabroniły widocznego publicznego prezentowania „obscenicznych lub rażąco niemoralnych” materiałów – prawo to zostało wykorzystane nie tylko do tępienia pornografii, ale także ateizmu i literatury LGBT. Na uniwersytetach południowych stanów „kodeksy mowy” zapewniają należyty szacunek dla wartości patriotycznych i tradycyjnych oraz zabraniają kursów, które „wypaczają” historię konfederatów. Kilku profesorów zostało zwolnionych za nauczanie, że wojna domowa toczyła się raczej w sprawie niewolnictwa niż praw stanów. Południowe przepisy dotyczące „fałszywych wiadomości” zostały wymierzone w liberalne media, a CNN i MSNBC musiały zapłacić ogromne grzywny za rozpowszechnianie fałszywych i zniekształconych informacji. Zarówno w stanach liberalnych, jak i konserwatywnych zwalczanie niepopularnych grup stało się ważną częścią procesu wyborczego. Politycy, szeryfowie i prokuratorzy okręgowi często obiecują „politykę zerowej tolerancji” wobec obraźliwych wypowiedzi, a bycie „miękkim wobec nienawiści” jest receptą na przegraną”.

Wizja przedstawiona przez Mchangamę nie ogranicza się do USA. Obejmuje ona także kraje zachodnioeuropejskie. I tak, jak wyobraził to sobie Mchangama „W Wielkiej Brytanii premier Jeremy Corbyn zaostrzył przepisy przeciwko nienawiści religijnej, przywracając odrzuconą wcześniej ustawę, która czyni przestępstwem obrażanie uczuć religijnych wierzących. Skazanie na podstawie przepisów dotyczących mowy nienawiści nie wymaga już zagrożeń dla porządku publicznego (20), a przepisy te są wykorzystywane do ścigania członków grup, takich jak English Defense League, PEGIDA i UKIP lub zakazywania istnienia takich grup. Zakaz mowy nienawiści został również rozszerzony na syjonizm.

Jednak po dojściu do władzy konserwatywnego rządu Borisa Johnsona priorytety uległy zmianie. Uchwalono przepisy zakazujące propagowania bojkotu Izraela, a także pośredniego gloryfikowania i akceptowania terroryzmu, które są stosowane przeciwko pro-palestyńskim aktywistom i grupom muzułmańskim. W obliczu rosnącego poparcia dla ponownego wstąpienia do UE, konserwatywny rząd rozważa prawo zakazujące propagandy mającej na celu podważenie niezależności Wielkiej Brytanii. W innym miejscu w Europie holenderski premier Geert Wilders w końcu spełnia swoją obietnicę zakazania Koranu. Jego rząd ponadto kopiuje, wkleja i rozszerza prawo węgierskiego premiera Victora Orbana zabraniające organizacjom pozarządowym propagowania „nielegalnej imigracji”. UE przyjmuje dyrektywę w sprawie zwalczania fake newsów, która zobowiązuje wszystkie państwa członkowskie do ustanowienia publicznych strażników uprawnionych do identyfikowania i usuwania fałszywych informacji, które mają na celu podważenie wartości państw członkowskich. Pod wpływem presji ze strony byłych państw komunistycznych UE rozszerza swój obecny zakaz niektórych form negowania Holokaustu, aby objąć nim również zaprzeczanie zbrodniom komunizmu, co prowadzi do zakazu literatury i symboli komunistycznych w dużej części Europy Środkowej i Wschodniej”.

Odpowiada komuś powyższa wizja? Odnośnie tego problemu mogę tylko snuć spekulacje, ale mimo wszystko przypuszczam, że jakkolwiek może ona odpowiadać wielu ludziom częściowo, to raczej mało komu może ona odpowiadać jako całość. Stosunkowo mało kto – jak przypuszczam – jest zwolennikiem zakazu zarówno „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko mniejszościom narodowym, etnicznym, religijnym czy seksualnym, jak i wypowiedzi popierających np. Antifę bądź taki ruch społeczny, jak Black Lives Matter, czy wreszcie „parad równości” lub literatury LGBT. Lecz w świecie, o którym jest mowa w tekście Jacoba Mchangamy można by było zabronić wszystkich tych wypowiedzi – a także demonstracji, podczas których prezentowane są zakazane poglądy i istnienia zrzeszeń opartych na takich poglądach. O tym, jakie wypowiedzi są dozwolone, a jakie nie decydowałaby wyłącznie i w sposób ostateczny parlamentarna większość. Uchwalone przez tę większość przepisy zabraniające wypowiadania takich czy innych stwierdzeń podlegałyby, owszem, interpretacji sądowej – w wizji Mchangamy nie ma mowy o ograniczeniu niezawisłości sądów. (21) Lecz przepisy ograniczające wolność słowa nie mogłyby być zaskarżane do sądów jako naruszające w nieuzasadniony sposób prawo do swobodnego wypowiadania się, gdyż takie prawo – jako szczególnie chronione prawo obywatelskie, czy też ogólnoludzkie – po prostu by nie istniało.

Twierdzić można, że wizja przedstawiona przez Jacoba Mchangamę nie jest wizją świata, w którym wolność słowa w praktyce zostałaby całkowicie stłumiona. W opisie przedstawionym w przytoczonym powyżej artykule nie ma mowy np. o krytykach rządu, którzy siedzą w więzieniach. Lecz w sytuacji, jaką opisuje Mchangama można byłoby w pełnej zgodzie z konstytucją, czy prawem międzynarodowym zabronić nawet kulturalnej, rzeczowej i opartej na prawdzie krytyki władzy – a także prawa, czy praktyk jego stosowania – i w gruncie rzeczy czegokolwiek – gdyż prawo do nawet takiej krytyki nie byłoby w opisanej przez Mchangamę sytuacji żadnym prawem.

Zauważyć przy tym można, że zniesienie prawa do wolności słowa miałyby szczególnie drastyczne efekty w przypadku Stanów Zjednoczonych. W sytuacji wyobrażonej przez Jacoba Mchangamę w istocie rzeczy przestałyby być one – jeśli chodzi o to, co gdzie można powiedzieć, napisać, czy opublikować – jednym krajem, a stałyby się w praktyce co najmniej dwoma krajami. Coś takiego pogłębiłoby istniejące w tym kraju podziały i nawet mogłoby prowadzić do jego rozpadu. Nie mówiąc już o tym, że opisana przez Mchangamę sytuacja, gdyby miała zaistnieć, byłaby w przypadku USA strasznym cofnięciem się koła historii.

W takim kraju, jak Polska, który w odróżnieniu od Stanów Zjednoczonych nie jest krajem federacyjnym zniesienie prawa do wolności słowa – w postaci np. wykreślenia tego prawa z konstytucji (a także np. Europejskiej Konwencji Praw Człowieka) prawdopodobnie nie miałyby tak dramatycznych skutków, jak mogłoby mieć w Ameryce – w tym sensie, że coś takiego raczej nie prowadziłoby do terytorialnego rozpadu państwa. W ogóle, jak myślę, są nader istotne różnice praktyczne między wolnością słowa w Polsce i w Stanach Zjednoczonych. W USA prawo do swobodnego wypowiedzania się jest prawem konstytucyjnym bardzo silnie chronionym przede wszystkim przez sądy (na czele z federalnym Sądem Najwyższym) które uznały za niekonstytucyjne wiele stanowych, czy też federalnych zakazów wypowiedzi. W Polsce o wolności słowa można mówić w sensie zapisu konstytucyjnego, który – przy okazji – nie jest zapisem bezwzględny – zgodnie z art. 31 ust. 3 konstytucji gwarantowana przez art. 54 ust. 1 wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji może być ograniczana, jeśli takie ograniczenie jest sformułowane w ustawie i jest konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób, a także nie narusza istoty określonej w art. 54 ust. 1 wolności – oraz pewnej praktyki – zgodzić się trzeba, że Polska nie należy np. do krajów, w których dziennikarze poruszający tematy niewygodne dla władzy siedzą w więzieniach. Lecz warto jednak zauważyć, że ochrona wolności słowa przez np. Trybunał Konstytucyjny była jak dotąd (i spokojnie można przypuszczać, że nadal będzie) słabiotką. Coś, co pozytywnego TK w kwestii wolności słowa zrobił, to częściowe unieważnienie w 2006 r. przepisu kodeksu karnego, zgodnie z którym przestępstwem było znieważenie funkcjonariusza publicznego podczas lub w związku z pełnieniem przez niego obowiązków służbowych – TK stwierdził, że czymś konstytucyjnie dopuszczalnym jest karanie za znieważanie funkcjonariusza podczas i w związku z pełnieniem przez niego obowiązków służbowych – zauważmy przy tym, że tego rodzaju szczególna – choć mniejsza, niż w początkowo obowiązującej wersji art. 226 § 1 kodeksu karnego z 1997 r. ochrona funkcjonariuszy publicznych przed obraźliwymi wypowiedziami jest uznawana za konstytucyjnie niedopuszczalną w USA, gdzie w orzeczeniach Sądu Najwyższego były formułowane zdania, że słowa, które w przypadku, gdy kierowane są do zwykłych obywateli mogą być uznawane za konstytucyjnie niechronione „fighting words” nie mogą być tak traktowane wówczas, gdy są kierowane do policjantów, którzy tak są wyszkoleni, by nie reagować na kierowane do nich obelgi (22), a także pewne ograniczenie przepisów dotyczących przestępstwa zniesławienia. (23) Poza tym w każdym innym przypadku Trybunał Konstytucyjny uznawał ograniczenia wolności słowa za zgodne z konstytucją. I tak, za nienaruszające konstytucji uznał np. zakazy publicznego znieważania prezydenta,

publicznego nawoływania do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, obrażania uczuć religijnych (24 oraz demonstracyjnego okazywania lekceważenia Narodowi Polskiemu, Rzeczypospolitej Polskiej lub jej naczelnym organom. Można by więc było twierdzić, że wykreślenie z polskiej konstytucji prawa do wolności słowa nie zmieniłoby wiele, jeśli chodzi o praktyczny stopień ochrony tego prawa, gdyż powołany do badania zgodności ustaw z konstytucją – w tym także znajdującym się w niej przepisem gwarantującym prawo do wolności słowa – Trybunał Konstytucyjny w istocie rzeczy pozwala władzy ustawodawczej na ograniczanie tej wolności tak, jak władza ta chce. Albo może nie na dokładnie wszystko, ale z pewnością na bardzo wiele. (25) Ale myślę mimo wszystko, że „wyrzucenie” z konstytucji (czy już tym bardziej z Europejskiej Konwencji Praw Człowieka) prawa do wolności słowa spowodowałyby praktyczną dalszą erozję zakresu tej wolności i zachętę do wprowadzania jej coraz to dalej idących ograniczeń.

Przy okazji warto też zauważyć jeszcze jedno. W wizji przedstawionej przez Jacoba Mchangamę – w której wyobrażony został świat około 10 lat po zniesieniu prawa do swobodnego wypowiedzania się jako szczególnie chronionego prawa człowieka – państwa zachodnie wciąż zasadniczo rzecz biorąc są demokracjami – nieliberalnymi, bo nieliberalnymi (26), ułomnymi bo ułomnymi, ale wciąż demokracjami w tym sensie, że odbywają się w nich konkurencyjne wybory – oraz państwami prawa. Lecz w sytuacji, w której prawo do wolności słowa zostałoby zniesione również i to mogłoby się łatwo zmienić. Władze wprowadzając zmiany polegające na całkiem bezpośrednim już ograniczeniu demokracji – jako np. nieefektywnego systemu rządzenia - czy praworządności – jako np. chroniącej prawa przestępców – mogłyby zakazać krytykowania tych zmian, lub nawet ich propozycji. Protestowanie przeciwko takim – przykładowo – zmianom byłoby ryzykowne, bo można byłoby za to trafić do więzienia.

Nasuwa się więc w związku z tym wszystkim pytanie: czy za jakiś czas – myślę, że raczej nie bardzo krótki – będziemy żyli w świecie bez wolności słowa – a w jakiejś jeszcze dalszej perspektywie – w świecie, w którym panuje tyrania? Na to pytanie ani ja, ani nikt inny – nawet znacznie mądrzejszy ode mnie – w oczywisty sposób nie jest w stanie udzielić odpowiedzi. Jeśli ja miałbym próbować udzielić jakiejś, to stwierdziłbym: myślę, że nie. Albo: mam nadzieję, że nie. Ale wspomniane w tym tekście fakty, takie, jak urządzenie przez studentów UW r historii z powodu udostępnienia przez uczelnię dostępu do portalu internetowego gazety, która publikowała nieaprobowane przez nich treści (a do których czytania nikt ich przecież nie zmuszał), czy rosnąca wśród amerykańskich studentów aprobata dla zakazu wyrażania „ekstremistycznych” poglądów i dla zakłócania wystąpień mówców, wyrażających opinie, z którymi oni się nie zgadzają powodują, że pytanie takie warto jest po prostu zadać. Tak czy owak, bardzo póki co hipotetyczna i na szczęście skrajnie niepewna wizja świata bez wolności słowa każe przypomnieć znane z pewnością wielu czytelnikom tego tekstu zdanie: *ceną wolności jest wieczna czujność*. (27) W takiej sprawie, jak ochrona wolności słowa warto, by była ona nawet wręcz przesadna.

Przypisy:

1. Można zadać pytanie, czy skoro działania takie, jak opublikowanie „Gazety Polskiej Codziennie” wraz z dołączonymi do niej naklejkami z przekreśloną tęcza flagą i napisem „Strefa wolna od LGBT” bądź również możliwe naklejanie takich nalepek na mury budynków były czymś, co można uznać formę ekspresji symbolicznej – którą prawo do wolności słowa powinno – moim zdaniem – chronić – to czy w takim razie nie należałoby uznać za rzecz dopuszczalną tworzenie przez władze samorządowe (np. rady gmin lub powiatów) tzw. stref wolnych od ideologii LGBT na podległych im obszarach – których znaczenie też jest przecież w praktyce czysto symboliczne? Otóż, myślę, że nie, a to z tej prostej przyczyny, że samorząd terytorialny jest częścią władzy publicznej i w związku z tym do jego urzędowych działań – nawet tych o czysto symbolicznym charakterze – stosują się inne zasady, niż te, które powinny stosować się wobec zwykłych obywateli. Obywatele powinni mieć prawo do wyrażania wszelkich poglądów – w tym także takich, które „dyskryminują” jakąś grupę ludzi – niezależnie od tego, czy będą to osoby LGBT, czy ludzie należący do jakiejś grupy narodowej, rasowej, czy religijnej, czy członkowie takiej bądź innej partii politycznej, czy też wyznawcy jakichś poglądów itd. Granicą tego prawa może być co najwyżej jasne, bezpośrednie i zamierzone zagrożenie dla życia, zdrowia, wolności czy jeszcze innych praw innych osób – np. wówczas, gdy jakieś wypowiedzi stanowią bezpośrednio w konkretnych okolicznościach niebezpieczne (oraz intencjonalne) podburzanie do przemocy, ewentualnie gdy są wywołującymi uzasadniony strach ich spełnienie groźbami przemocy, bądź gdy stanowią bezpośrednio werbalne dręczenie i prześladowanie jakichś konkretnych osób, bądź (podobnie, jak w przypadku groźb) ich małych, ściśle określonych grup. Nie od rzeczy będzie zwrócić uwagę na to, że przepisy prawne zabraniające – jak to się czasem określa – „dyskryminacyjnych” wypowiedzi, a więc w polskim przypadku choćby art. 256 § 1 k.k. w myśl którego przestępstwem jest „*publiczne propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa lub nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość*” oraz art. 257 k.k. zgodnie z którym przestępstwem jest „*publiczne znieważenie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości*” same w sobie mają charakter dyskryminacyjny poprzez to, że zabraniają „nawoływania do nienawiści” przeciwko pewnym grupom i znieważania pewnych grup (tj. grup narodowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych i charakteryzujących się brakiem wyznania religijnego) lecz nie innych – np. osób LGBT, członków grup zawodowych, członków czy sympatyków partii politycznych, osób o określonym pochodzeniu społecznym (np. chłopskim, robotniczym, inteligenckim czy szlacheckim) itd. Jeśli prawo – tak, jak ma to miejsce w Polsce – zakazuje „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko pewnym grupom społecznym, lecz nie zabrania „mowy nienawiści” skierowanej przeciwko innym grupom – to w oczywisty sposób dyskryminuje ludzi z powodu ich poglądów, ponieważ ludzie negatywnie odnoszący się do pewnych grup narażają się w przypadku publicznego

wyrażania swoich zapatrywań na odpowiedzialność karną, zaś ludziom w podobny sposób odnoszącym się do innych grup tego rodzaju odpowiedzialność za publiczne wyrażanie swoich przekonań nie grozi. Byłoby ponadto oczywistym absurdem domaganie się od ludzi tego, by w swoich wypowiedziach nie mogli oni nikogo dyskryminować – tj. żeby o wszystkich musieli wyrażać się tak samo dobrze – bądź ewentualnie tak samo źle.

Ale samorząd terytorialny jest, jak już wspomniałem, częścią władzy publicznej. Obowiązują go więc cokolwiek inne – niż „zwykłych” – nie będących organami władzy – obywateli, zasady. W tym przede wszystkim zasada równego traktowania ludzi przez władze publiczne, o której nawiasem mówiąc mowa jest w art. 32 ust. 1 zdanie drugie polskiej Konstytucji. Oczywiście, zasada równego traktowania ludzi przez władze publiczne nie jest – można zauważyć – zasadą bezwzględną. Przykładowo, nikt nie kwestionuje tego, że ci ludzie, którzy popełnili przestępstwa mogą być przez władze publiczne traktowani w sposób odmienny od tych, którzy przestępstw nie dokonali. To jest jednak mający zresztą wyraźne umocowanie także w konstytucji wyjątek od reguły, którego nikt przy zdrowych zmysłach nie uważa chyba za niezasadny. Z pewnością wspomniana zasada oznacza to, że władze nie mogą traktować różnych ludzi w różny sposób bez dobrze uzasadnionego powodu. I można twierdzić, że naruszeniem tej zasady jest wydawanie przez władze publiczne aktów urzędowych – takich, jak uchwały rad gmin, czy powiatów – które wprawdzie nie mówią wprost, że jacyś ludzie są gorsi od innych – bo w uchwałach wspomnianych rad była mowa raczej o „strefach wolnych od ideologii LGBT” niż o strefach po prostu wolnych od LGBT (a nigdzie nie było mowy o strefie wolnej od *osób* LGBT) – lecz które są tak odbierane i które *implicite* to mają znaczyć.

Samorządowe uchwały o strefach wolnych od LGBT słusznie zatem były uznawane przez sądy za bezprawne. Pojawia się jednak pytanie, co z tym fantem dalej (ewentualnie) zrobić? Można byłoby np. karać radnych wydających wspomnianego typu uchwały? Odnośnie tej kwestii przyszło mi do głowy, że radni, którzy wydają tego typu uchwały popełniają przestępstwo z art. 231 § 1 k.k. zgodnie z którym „*Funkcjonariusz publiczny, który, przekraczając swoje uprawnienia lub nie dopełniając obowiązków, działa na szkodę interesu publicznego lub prywatnego, podlega karze pozbawienia wolności do lat 3*”. Radni, w myśl art. 115 § 13 ust. 2 k.k. są funkcjonariuszami publicznymi. Działanie polegające na wydawaniu uchwał ogłaszających takie czy inne gminy, miasta czy powiaty „strefami wolnymi od ideologii LGBT” jest przekraczaniem przez radnych ich uprawnień – z pewnością nie mają oni prawa wydawać postanowień naruszających konstytucyjną zasadę równego traktowania wszystkich przez władze publiczne – a władzą publiczną są przecież także takie organy, jak rada gminy, rada miasta, czy rada powiatu. Dodatkowo, w przypadku podejmowania uchwał ogłaszających takie czy inne jednostki samorządowe strefami wolnymi od ideologii LGBT można mówić o działaniu na szkodę zwłaszcza interesu publicznego (myślę, że bezpośrednio naruszenie czyichś prywatnych interesów trudniej byłoby w przypadku takich uchwał udowodnić) polegającym tworzeniu na

świecie wrażenia, że Polska jest krajem wrogo nastawionym wobec mniejszości seksualnych i w rezultacie przynoszenia wstydu naszemu krajowi.

Można więc twierdzić, że znamiona przestępstwa z art. 231 § 1 k.k. zostały w przypadku uchwalania przez organa stanowiące samorządu terytorialnego spełnione. Czy jednak radni powinni za podejmowanie takich uchwał być sądzeni z tego paragrafu? Otóż, myślę, że coś takiego wywołałoby jeszcze większą awanturę, niż podejmowanie w niektórych gminach, miastach czy powiatach wspomnianego rodzaju uchwał. I nie byłoby w związku z tym rzeczą mądrą.

Ciekawe jest przy tym to, że coś, co dla nie do końca zorientowanych w rzeczywistości ludzi mogłoby stanowić widoczny znak tego, że pewne miejscowości zostały uznane za strefy wolne od LGBT były umieszczone pod tablicami z nazwami miejscowości przy drogach wjazdowych do nich żółte tabliczki z napisem „Strefa wolna od LGBT” oraz tłumaczeniami tego napisu na angielski – „LGBT free zone”, francuski – „Zone sans LGBT” i rosyjski „Zona biez LGBT”. Tabliczki te jednak nie zostały we wspomnianych miejscach umieszczone z inicjatywy władz samorządowych, które podjęły uchwały uznające takie czy inne miejscowości za „strefy wolne od LGBT” lecz z inicjatywy niejakiego Barta Staszewskiego, będącego aktywistą na rzecz praw osób LGBT.

Bart Staszewski nie jest oczywiście władzą, więc takie jak powyżej rozważania nie mogą się wobec niego stosować. Ale czy takie działania, jak umieszczanie przez niego czy z jego inicjatywy tabliczek z napisem „Strefa wolna od LGBT” przy tablicach z nazwami takich czy innych miejscowości koło dróg wjazdowych do tych miejscowości są czymś, co w konieczny sposób musi być tolerowane? Jeśli chodzi o ten problem, to wyobrażam sobie istnienie prawa, które zabraniałoby umieszczania na słupach, do których przymocowane są tablice z nazwami miejscowości przy drogach wjazdowych do nich wszelkich innych napisów, znaków czy symboli. Taki zakaz miałyby charakter treściowo neutralny – zabraniałby on pewnych wypowiedzi wyłącznie ze względu na ich miejsce, lecz nie ze względu na ich treść. Prawo takie miałyby jednak może jakiś sens w przypadku takich napisów, które we wspomnianych miejscach miałyby być umieszczone na stałe, lub przynajmniej na dłuższy czas. W przypadku tabliczek z napisem „Strefa wolna od LGBT” umieszczonych pod tablicami z nazwami różnych miejscowości – tych, w odniesieniu do których samorządowcy podjęli uchwały uznające je za „strefy wolne od ideologii LGBT” – przez Barta Staszewskiego tak jednak nie było. Tabliczki były przymocowane we wspomnianych miejscach jedynie chwilowo – a także fotografowane – był to swego rodzaju happening, mający pokazać, że wspomniane miejscowości zostały ogłoszone przez władze samorządowe „strefami wolnymi od LGBT”. Tabliczek tych oczywiście nie byłoby, gdyby pewne gminy czy powiaty nie zostały przez radnych ogłoszone wspomnianymi strefami. Bart Staszewski, organizując wspomniany happening chciał pokazać światu, co w Polsce się wyprawia. Można byłoby twierdzić, że trochę przesadził – umieszczone przez niego tabliczki z napisem – i to w trzech językach –

„strefa wolna od LGBT” – mogły dla osób bliżej nie zorientowanych w temacie sprawiać wrażenie, że miejscowości, przy których nazwach zostały umieszczone rzeczony tabliczki są naprawdę jakimiś „strefami wolnymi od LGBT”, w których osobom należącym do mniejszości seksualnych nie wolno mieszkać, czy może w ogóle przebywać, bądź że w takich miejscowościach tego rodzaju osoby są jakoś oficjalnie dyskryminowane czy szykanowane. Tak oczywiście nie jest: w „strefach wolnych od LGBT” (czy od „ideologii LGBT”) osoby należące do mniejszości seksualnych mają *de facto* identyczne prawa, jak tam, gdzie tego rodzaju stref nie ma. I tam, gdzie takie strefy zostały ogłoszone i tam, gdzie radni nie podjęli rzeczony rodzaju uchwał osoby LGBT nie mają – owszem – pewnych praw – a w każdym razie czegoś, odnośnie czego można byłoby twierdzić, że powinno to stanowić ich prawa. I tak np. nigdzie w Polsce – czy to w „strefach wolnych od LGBT” czy nie w takich strefach – osoby tej samej płci nie mogą wziąć ze sobą prawnie ważnego ślubu. Podobnie też nigdzie w Polsce para takich osób nie może adoptować dziecka. Lecz czy to tam, gdzie nie ma żadnych „stref wolnych od ideologii LGBT” czy tam, gdzie w myśl uchwał samorządu terytorialnego są takie strefy pary ludzi tej samej płci mają identyczne prawo żyć ze sobą. Dobrowolny seks między osobami tej samej płci jest tak samo dozwolony w „strefach wolnych od (ideologii) LGBT)” jak i nie w takich strefach, pod warunkiem tylko, by osoby te miały ukończone 15 lat (co tyczy się też seksu między osobami przeciwnej płci). I oczywiście nigdzie w Polsce nie jest zabronione propagowanie „ideologii LGBT” – strefy „wolne” od wspomnianej „ideologii” niczym się nie różnią od pozostałych. Umieszczone przez Barta Staszewskiego przy drogach wjazdowych do takich czy innych miejscowości tabliczki z napisem „Strefa wolna od LGBT” mogły więc (w każdym razie, jest to wyobrażalne) stwarzać *falszywe* wrażenie, że w Polsce naprawdę powstały jakieś „strefy wolne od LGBT”. Lecz ewentualne przeciwstawienie się temu – moim zdaniem tylko wyobrażalnemu – wrażeniu, powinno polegać po prostu na przedstawieniu prawdy i wyjaśnieniu, że z tymi „strefami wolnymi od LGBT”, czy od „ideologii LGBT” nie jest tak źle, jakby się komuś mogło wydawać – tzn. że uchwały o ogłoszeniu takich czy innych miast, gmin czy powiatów takimi strefami nie mają żadnych praktycznych konsekwencji dla mieszkających w tych strefach osób. Jednak tak czy owak, wolność słowa, z której Bart Staszewski niewątpliwie korzystał umieszczając we wspomnianych tu miejscach tabliczki z napisami „strefa wolna od LGBT” w oczywisty sposób musi obejmować prawo do przesady – do przerysowanego przedstawiania pewnych problemów, a nawet do przedstawiania ich w sposób nieprawdziwy. Tak czy inaczej uważam, że działania tego rodzaju, co wspomniane tu happeningi Barta Staszewskiego powinny być całkowicie dozwolone.

2. Na ten temat zob. mój tekst [„Odpowiedzialność za zniesławienie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego \(12.05.2008\): lepiej niż było, ale wciąż niezadowolająco”](#). Zob. też [„O sprawie Piotra Maślaka \(o zniesławienie funkcjonariuszy SG\)... i niektórych innych problemach granic wolności słowa”](#).

3. W tym akurat kontekście można się zastanowić nad koncepcją tzw. „fighting words” czyli dosłownie tłumacząc „słów walczących” które w amerykańskim orzecznictwie sądowym uznawane są za taki rodzaj ekspresji, który nie jest chroniony przez I Poprawkę do Konstytucji. Pojęcie „fighting words” po raz pierwszy pojawiło się w wyroku Sądu Najwyższego USA w sprawie Chaplinsky v. New Hampshire z 1942 r. W rzeczonej sprawie amerykański Sąd Najwyższy stanął przed zadaniem odpowiedzenia na pytanie, czy niejaki Walter Chaplinsky, Świadek Jehowy z miasta Rochester w stanie New Hampshire, który na podstawie przepisu przewidującego karę za kierowanie do kogoś, kto zgodnie z prawem przebywa w miejscu publicznym jakiegoś obraźliwego, szyderczego lub irytującego słowa lub nazwanie kogoś takiego obraźliwym bądź szyderczym przezwiskiem został skazany na pół roku więzienia za skierowanie do szefa miejskiej policji następujących słów: „jesteś przeklętym łobuzem” i „przeklętym faszystą” oraz, że „całe władze Rochester to faszyci albo agenci faszystów” działał w ramach gwarantowanego przez I Poprawkę prawa do wolności słowa. Odpowiedź Sądu Najwyższego USA na wspomniane pytanie była taka (nie rozdrabniając się na szczegóły – w orzeczeniu w sprawie Chaplinsky’ego sformułowane zostały dość szerokie i przez to mogące budzić wątpliwości stwierdzenia), że Pierwsza Poprawka do Konstytucji USA nie zabrania karania za tzw. „słowa walczące”, czyli takie, „które przez samo ich użycie wyrządzają krzywdę lub skłaniają do natychmiastowego zakłócenia spokoju”.

Od czasu wydania wspomnianego tu orzeczenia w sprawie Chaplinsky v. New Hampshire Sąd Najwyższy USA nigdy nie potrzywał wyroku skazującego kogoś za „słowa walczące” – ani ustawy przewidującej karę za takie słowa – aczkolwiek stanowe sądy najwyższe robiły to wiele razy, także w zupełnie niedawnych czasach. W każdym razie, jeśli chodzi o obecny stan prawny w USA to jest on najogólniej rzecz biorąc taki, że jakkolwiek „słowa walczące” pozostają kategorią wypowiedzi niechronioną przez Pierwszą Poprawkę do Konstytucji, to kategoria ta jest nader wąska. Najkrócej mówiąc, aby jakaś wypowiedź mogła zostać uznana za „fighting words” musi ona stanowić personalną obelgę wobec adresata tej wypowiedzi, musi być kierowana do niego twarzą w twarz i musi stwarzać duże prawdopodobieństwo, że adresat słownej napaści zareaguje na nią natychmiastową przemocą.

Czy zakaz „fighting words” – rozumiany tak, jak to pojęcie interpretowane jest przez amerykańskie sądy obecnie – zostawmy w spokoju samą sprawę Chaplinsky v. New Hampshire – przedstawione przez Burtona Caine’a w jego artykule fakty w sposób jasny pokazują, że skazanie Chaplinsky’ego za jego wypowiedź – jakoś tam, zgoda, obraźliwą, ale znacznie mniej obraźliwą od wielu wypowiedzi, które Sąd Najwyższy USA uznał w późniejszych czasach za chronione przez I Poprawkę do Konstytucji - było w świetle okoliczności, w jakich wypowiedź ta miała miejsce czymś skandalicznym, gdyż w całej sprawie to właśnie on był osobą najbardziej poszkodowaną – jest uzasadnionym ograniczeniem wolności słowa? Odpowiedź do jakiej się skłaniam w tej kwestii jest taka, że nie czepiałbym się tego zakazu jakoś bardzo. Przede wszystkim, zakaz „słów walczących” nie ma na celu tego, by jakieś

treści i zawarte w nich przesłania nie trafiały do oczu czy uszu ludzi – w tym chętnych odbiorców – z tego powodu, że przesłania te są – zdaniem czy to ustawodawcy, czy organów egzekwujących prawo – obraźliwe, niemoralne czy niebezpieczne. Trudno sobie na dobrą sprawę wyobrazić, by „fighting words” mogły być adresowane do jakiegoś chętnego do ich odbioru słuchacza. Być może nawet lepszym, niż „słowa walczące” – które, powiedzmy sobie, brzmi cokolwiek zagadkowo (czy przypadkiem w swoich tekstach nie „walczę” jakoś o choćby większy, niż istniejący obecnie w Polsce zakres wolności słowa?) tłumaczeniem na język polski pojęcia „fighting words” jest pojęcie – też, zgoda, oczywiście nieostre – napaści słownej. Według obecnie przyjętej w USA doktryny prawnej, aby jakieś słowa mogły być uznane za niechronione przez I Poprawkę do Konstytucji jako „fighting words” muszą być one właśnie napaścią słowną na osobę do której są one kierowane, muszą być skierowane bezpośrednio do tej osoby w jej fizycznej bliskości i muszą wreszcie stwarzać realne zagrożenie, że adresat tych słów zareaguje – kolokwialnie wyrażając się – mordobiciem. Twierdzi się w ogóle, że „fighting words” są odmianą niechronionego przez I Poprawkę do Konstytucji bezpośrednio niebezpiecznego podburzania do przemocy – tym różniącą się od podburzania, które jest niechronione w zakresie określonym przez Sąd Najwyższy USA w sprawie *Brandenburg v. Ohio* z 1969 r., gdzie Sąd stwierdził, iż *„konstytucyjne gwarancje wolności słowa i prasy nie pozwalają stanowi na zakazanie propagowania użycia siły lub złamania prawa, chyba, że takie propagowanie ma na celu podburzenie lub wywołanie natychmiastowego bezprawnego działania i jest prawdopodobne, że podburzy lub wywoła takie działanie”* – że, po pierwsze, podburzanie skierowane jest bezpośrednio do konkretnej osoby – a nie do np. tłumu, po drugie, potencjalną ofiarą wywołanej podburzającą wypowiedzią przemocy jest – w pierwszym przynajmniej rzędzie - jej autor, a nie jakieś niewinne osoby trzecie – i po trzecie wreszcie, wypowiedź, do tego by mogła być karalna nie musi być literalnym wezwaniem do popełnienia przestępstwa – aby ktoś mógł stać się winnym użycia „fighting words” i ewentualnie zostać skazanym za ich użycie – nie musi on krzyknąć do swego adresata czegoś w rodzaju „no bij mnie!” albo „no bij się ze mną!” (choć takie słowa też mogą – pod warunkiem prawdopodobieństwa sprowokowania przemocy wchodzić w zakres pojęcia „słów walczących”) lecz wchodzi tu w grę także personalne wyzwiska typu np. „ty ch... u”.

Jak zatem widać, niewiele wypowiedzi może być obecnie w USA karanych jako „słowa walczące”. Nie mogą jako takie słowa być karane wypowiedzi w Internecie, w prasie, czy też w radiu bądź telewizji – no, chyba, że mamy do czynienia z transmisją jakiejś sytuacji dziejącej się na żywo – ale to właśnie tylko w takiej, dziejącej się w fizycznym, nie wirtualnym świecie sytuacji – może dojść do użycia „fighting words”. Nie mogą też jako „słowa walczące” być traktowane wypowiedzi kierowane np. do tłumu (lecz nie konkretnych znajdujących się w nim osób) – Sąd Najwyższy USA szereg razy stwierdzał, że wroga reakcja niektórych słuchaczy na jakąś wypowiedź nie usprawiedliwia cenzurowania czy też karania autora tej wypowiedzi.

Lecz *ratio legis* wyjęcia „słów walczących” spod ochrony I Poprawki i ich prawnego zakazu (oczywiście, władze czy to stanowe, czy federalne nie muszą zakazywać takich słów, ale w świetle dotychczasowego orzecznictwa Sądu Najwyższego USA mają prawo to robić) nie jest dla mnie mimo wszystko oczywiste. Mowa tu była o tym, że „słowa walczące” są w istocie rzecz rodzajem podburzania do przemocy, które adresowane jest bezpośrednio do konkretnej osoby, zaś potencjalną (czy faktyczną) ofiarą przemocy jest – w pierwszym przynajmniej rzędzie – autor prowokacyjnej wypowiedzi. Oczywiście, zakaz bezpośrednio niebezpiecznego i celowego podburzania do przemocy jest czymś uzasadnionym, ale uzasadnieniem takiego zakazu jest to, że podburzanie takie stwarza bezpośrednie zagrożenie dla życia, zdrowia czy też własności innych osób, którego realizacji praktycznie rzecz biorąc nie da się zapobiec inaczej, jak poprzez zakazanie takiego podburzania. Inaczej mówiąc, to wzgląd na ochronę praw osób trzecich usprawiedliwia zakaz podburzania, o jakie Sądowi Najwyższemu USA chodziło w sprawie *Brandenburg v. Ohio*. Jednak „słowa walczące” nie muszą powodować niebezpieczeństwa dla jakichś trzecich osób (choć niewykluczone jest, że w pewnych sytuacjach mogą je wywoływać) - do uznania wypowiedzi (pod pewnymi, wspomnianymi wcześniej warunkami) za takie słowa wystarczające jest to, że powodują one niebezpieczeństwo dla samego jej autora. Pojawia się więc tutaj takie pytanie: czy jest rzeczą właściwą karanie kogoś za jego wypowiedź z tego powodu, że za wypowiedź tę mógł on z dużym prawdopodobieństwem oberwać? Albo nawet z tego powodu, że faktycznie za nią oberwał? Nie jest coś takiego przypadkiem przejawem paternalizmu, który w kraju szanującym wolności i prawa jednostki nie powinien być przesłanką stanowienia i egzekwowania przepisów prawa karnego?

Z tym, że „fighting words” muszą stwarzać bezpośrednio niebezpieczeństwo użycia przez ich adresata przemocy przeciwko ich autorowi wynika inny jeszcze paradoks, z którym nie wszyscy autorzy wypowiadający się na temat „słów walczących” gotowi są się zgodzić. Jest on taki, że można bezpośrednio twarzą w twarz skierować obelżywe słowa do osoby fizycznie słabej – takiej, jak wąż staruszka, dziecko, czy osoba niepełnosprawna. Takie słowa nie stanowią „słów walczących” gdyż jest nieprawdopodobne, by osoba będąca adresatem takich słów zareagowała na nie natychmiastową przemocą. Tak więc kierujący jakieś obelgi do takiej osoby młody, agresywny, bezczelny osiłek nie może ponieść za te obelgi odpowiedzialności karnej, gdyż obelgi te nie powodują niebezpieczeństwa, że zostanie on fizycznie zaatakowany ofiarą owych obelg. Lecz jeśli ktoś kieruje obelgą do takiego osiłka, z dużo większym prawdopodobieństwem może zostać uznany za winnego użycia „fighting words” gdyż prawdopodobieństwo, że ktoś taki zareaguje przemocą jest znaczne.

Nie jest to, w moim odczuciu, sprawiedliwe. Lecz pojawia się pytanie, czy można byłoby znaleźć rozwiązanie, które byłoby od takiego, jakie jest obecnie przyjęte w USA lepsze? Znany profesor prawa i specjalista w dziedzinie wolności słowa R. Kent Greenawalt proponował kiedyś, by za „fighting words” można było uznawać słowa, które sprowokowałyby znaczną część ich odbiorców do użycia przemocy przeciwko

osobie, która do nich takie słowa skierowała bez względu na to, czy w konkretnym przypadku użycia takich słów pobudzenie ich adresata do gwałtownej reakcji było prawdopodobne, czy też nie. Ten pomysł sam w sobie nie był – można twierdzić – czymś bardzo złym. Karanie ludzi za kierowanie do innych wyzwisk, które znaczną część ich adresatów mogłyby skłonić do dania ich autorowi – kolokwialnie wyrażając się – w pysk – byłoby czymś dalekim od karania za wypowiedzi, które choć obraźliwe dla niektórych osób, to nie są jednak bezpośrednimi personalnymi zniewagami – a więc np. za „mowę nienawiści” czy palenie flagi (za których zakazami prof. Greenawalt się nie opowiadał). Lecz mimo wszystko zaakceptowania przez sądy takiego pomysłu bym się cokolwiek bał. Stwierdzenie, że ludzie mogą być karani za takie wypowiedzi kierowane bezpośrednio do innych, które z powodu ich obraźliwości mogłyby sporą ich część sprowokować do przemocy byłoby równoznaczne z tym, że ludzie mogą być karani za pewne wypowiedzi z tego względu, że są one dostatecznie obraźliwe dla innych osób. Owszem, zakres takich karalnych z powodu ich obraźliwości wypowiedzi byłby w dalszym ciągu mocno ograniczony. Wypowiedzi takie przede wszystkim musiałyby być bezpośrednimi personalnymi obelgami – nie mogłyby jako „fighting words” podlegać karze stwierdzenia na temat całych nacji, grup etnicznych, religijnych itd. Musiałyby być też bezpośrednio kierowane do swoich odbiorców – w tym względzie zakaz „fighting words” – także w wersji zaproponowanej niegdyś przez prof. Greenawalta byłby węższy od występującego w polskim prawie karnym zakazu znieważania innych ludzi – w myśl art. 216 § 1 k.k. znieważanie innej osoby stanowi przestępstwo (ścigane z oskarżenia prywatnego) wówczas, gdy albo ma miejsce w obecności pokrzywdzonego, albo też wówczas, gdy zniewaga ma charakter publiczny, bądź wreszcie wtedy, gdy zniewaga nie ma wprawdzie charakteru publicznego, ani nie ma miejsca w obecności osoby, do której się odnosi, ale autor zniewagi chce, by zniewaga ta do jej adresata dotarła. Jakby się jednak nie patrzeć, wspomniane wcześniej rozwiązanie w kwestii „fighting words” cokolwiek – choć w niewielkim, może nawet tylko minimalnym stopniu, podważałoby sformułowaną wyraźnie przez Sąd Najwyższy USA zasadę, że jest czymś niezgodnym z I Poprawką do Konstytucji karanie ludzi za wypowiedzi z tego powodu, że są one obraźliwe dla niektórych ich odbiorców. Warto też przy okazji zwrócić uwagę na to, że na poziomie sądów stanowych oskarżenia o „słowa walczące” nader często dotyczą obelg kierowanych do policjantów, zaś nieproporcjonalnie duża część takich oskarżeń dotyczy Afroamerykanów. Można się przy tym zastanawiać, czy obelżywe słowa kierowane do funkcjonariuszy policji są czymś, co uczciwie można uznać za „fighting words” w we wspomnianym tu wcześniej rozumieniu tego pojęcia. Jak była tu już mowa, aby jakąś wypowiedź można było uznać za „fighting words” wypowiedź ta musi stwarzać realne niebezpieczeństwo sprowokowania jej adresata do natychmiastowego użycia przemocy. Zaś policjanci są - a w każdym razie powinni być – ludźmi tak wytrenowanymi, by umieć powstrzymać nerwy na wodzy w obliczu kierowanych do nich obelg. Sędzia Sądu Najwyższego USA Louis Powell argumentował w latach 70, że słowa, które zasadnie można uznać za „fighting words” w przypadku, gdy są one adresowane do zwykłego obywatela – który z dużym prawdopodobieństwem może

zostać sprowokowany do zareagowania na nie przemocą – nie powinny być traktowane jako „fighting words” w przypadku, gdy zostały one skierowane do policjanta, który został wyszkolony tak, by nie reagować na słowne prowokacje (zob. jego opinię w sprawie Lewis v. City of New Orleans). Lecz to co stwierdził – bardzo słusznie zresztą – sędzia Powell było częścią uzasadnienia jednej z jego opinii, zbieżnej z opinią większości sądu – zdanie to nie stanowi prawa obowiązującego w całym kraju. Czy więc zakaz „fighting words” jest uzasadniony? Ja osobiście nie jestem przeciwnikiem takich zakazów do tego stopnia, w jakim jestem przeciwnikiem zakazów np. mowy nienawiści, obrażania uczuć religijnych, znieważania władz czy (np.) pornografii (z wyjątkiem, powiedzmy, pornografii której produkcja wyrządza krzywdę wykorzystywanym do tego osobom) ale niemniej jednak uważam, iż kwestia tego, czy zakazy „słów walczących” są słuszne jest w jakimś przynajmniej stopniu otwarta.

4. Moim zdaniem Tomasz Żukowski w swym całkiem ciekawym, po swojemu – i na pewno dającym cokolwiek do myślenia - tekście popełnia zasadniczy błąd. Czy o tekstach antysemitycznych rzeczywiście da się powiedzieć, że wykluczają one Żydów ze wspólnoty obywatelskiej? Moja intuicyjna odpowiedź na tak postawione pytanie jest taka, że jest możliwe, że ktoś będący Żydem kto trafia na jakiś tekst o antysemitycznym charakterze może odnieść wrażenie, że autor tego tekstu chciałby wykluczyć go – wraz z innymi osobami tej samej co on narodowości – ze społeczeństwa. Ale właśnie – *chciałby*. Bo przecież nie można wykluczyć ze społeczeństwa – w sensie faktycznego zdegradowania ich do jakiejś grupy obywateli drugiej kategorii – czy może w ogóle nie-obywateli – jakichś ludzi tylko poprzez powiedzenie bądź napisanie czegoś o nich. Bardzo hipotetycznie rzecz biorąc, szerzenie antysemitycznych – podobnie, jak rasistowskich czy homofobicznych – poglądów może prowadzić do czegoś, co można byłoby określić jako społeczne wykluczenie osób, do których wypowiedzi wyrażające takie poglądy się odnoszą. Ale tego rodzaju niebezpieczeństwo, mogące teoretycznie rzecz biorąc wynikać ze wspomnianego rodzaju wypowiedzi jest niebezpieczeństwem mglistym, hipotetycznym i odległym. Tego rodzaju niebezpieczeństwu należy przeciwstawiać się nie poprzez karanie za wyrażanie nienawistnych poglądów, lecz poprzez przeciwstawianie takim poglądom innych poglądów – potępienie, wykpiwanie, ośmieszanie rasistowskiej, antysemitycznej czy innej nienawiści itd. Poza tym, czy nie można byłoby twierdzić, że nienawistne wypowiedzi na temat chociażby członków takich czy innych partii politycznych wykluczają członków tych partii ze społeczeństwa w podobny sposób w jaki – zdaniem T. Żukowskiego – wypowiedzi antysemityczne wykluczają ze społeczeństwa Żydów? Z pewnością wypowiedzi takie w jakimś stopniu przyczyniają się do dzielenia i polaryzowania społeczeństwa. Moim zdaniem remedium na tego rodzaju szkody, do których takie wypowiedzi mogą się przyczyniać nie jest oczywiście cenzurowanie takich wypowiedzi bądź karanie za nie - ale czy ktoś uważający, że pewne wypowiedzi powinny być karalne z tego powodu, że w jakiś symboliczny sposób wykluczają one pewną grupę osób ze społeczeństwa – nie mógłby dość łatwo dojść do wniosku, że także wypowiedzi zawierające jakiegóż negatywny stwierdzenia na

temat grup tego rodzaju, co członkowie partii politycznych powinny zostać zabronione?

To, przynajmniej w odniesieniu do wspomnianego tu Tomasza Żukowskiego jest pytanie retoryczne. Ze wspomnianego tekstu wynika, że jest on za zakazem – i to bardzo szeroko pojętym – wypowiedzi antysemickich i w tym zakresie popiera istnienie w kodeksie karnym takich przepisów, jak art. 256 i 257 opowiadając się dodatkowo za ich wyjątkowo szeroką interpretacją – postulował on np. to, by kwestia tego, czy jakąś wypowiedź można było uznać za przestępstwo nie zależała – jak często ma to miejsce w praktyce prokuratorskiej czy sądowej – od stylu tej wypowiedzi, a także intencji jej autora. Wynikająca *implicite* z tekstu Żukowskiego teza, że przestępstwo „nawoływania do nienawiści” (czy też znieważania grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, rasowej itd.) mogą stanowić nie tylko wypowiedzi wulgarne, agresywne, obraźliwe czy zwyczajnie chamskie, lecz także takie, których kulturze nie da się nic zarzucić jest dyskusyjna, ale nie chcę się wdawać w rozważania na ten akurat temat. Chciałbym jednak zauważyć, że Żukowski używa w swym tekście wątpliwych argumentów także o charakterze prawnym. Zadaje on np. pytanie „Czy hasło „*Nie głosuj na Żyda*” może być w *demokracji legalne*?”. Problem z tym pytaniem jest jedna taki, że gdzie jak gdzie, ale w Polsce – a także przynajmniej w większości krajów mających w swych systemach prawnych zakazy „mowy nienawiści” – wspomniane hasło *byłoby* legalne. Za jakie przestępstwo można byłoby zresztą takie hasło uznać? Na pewno nie za publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa, bo niegłosowanie na kogoś z takiego powodu, że jest on Żydem – jakby czegoś takiego negatywnie nie oceniać – jest czymś z prawnego punktu widzenia absolutnie dozwolonym (i nawet trudno jest sobie wyobrazić, by mogło być to prawnie zakazane – jest przecież tajemnica głosowania). Dałoby się je uznać za „*publiczne nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość*”? Tu sprawa jest może trochę bardziej śliska z tego względu, że „nawoływanie do nienawiści” jest pojęciem nieostrym. Przepis kodeksu karnego zabraniający „nawoływania do nienawiści” przewiduje karę za „nawoływanie” nie do określonego zachowania, lecz do emocji, która nie ma jasnych, oczywistych i widocznych dla każdego granic. Trudno powiedzieć, gdzie kończy się np. niechęć, czy uprzedzenie, nawoływanie do których jest jeszcze prawnie dozwolone, a zaczyna „nawoływanie do nienawiści” za które można nawet trafić do więzienia. I rzeczą trudną może być stwierdzenie tego, jaką emocję chciał u swych odbiorców wywołać autor takiej czy innej wypowiedzi – stwierdzenie tego, czy tą emocją miała być nienawiść, czy może jednak jakieś nie tak skrajne uczucie jest w dużej mierze zależne od „widzimisię” oceniającego – a więc w postępowaniu karnym dotyczącym jakiejś wypowiedzi prokuratora, a następnie sędziego. Lecz mimo wszystko wydaje mi się, że trzeba byłoby interpretować pojęcie „nawoływania do nienawiści” w jakiś naprawdę ekstremalnie wręcz rozciągliwy sposób, by uznać, że samo po prostu hasło „*nie głosuj na Żyda*” można było uznać za „nawoływanie do nienawiści” czy to wobec np. konkretnego kandydata w wyborach z powodu jego narodowości, czy też w ogóle

wobec Żydów. Hasło to, przynajmniej literalnie rzecz biorąc, wzywa do zachowania, które można negatywnie oceniać z moralnego punktu widzenia (na pewno ja bym je tak ocenił – bo to, że ktoś jest Żydem nie byłoby dla mnie żadnym powodem, by na niego nie głosować – tak samo, jak nie byłoby dla mnie żadnym powodem do głosowania na kogoś to, że jest on akurat Żydem) ale które ponad wszelką wątpliwość jest całkowicie legalne. Można byłoby uznać publiczne użycie takiego hasła za próbę wywołania jakichś skrajnie negatywnych emocji czy to wobec konkretnej osoby bądź całej grupy osób z powodu jej narodowości czy też wyznania – dodajmy przy tym, emocji zdecydowanie silniejszej od niechęci, uprzedzenia, czy nawet pogardy (a może i wrogości)? Moim zdaniem jest to bardzo wątpliwe – i myślę, że hipotetyczny sąd, który uznałby wypowiedź będącą niczym więcej, jak wezwaniem do niegłosowania na kogoś z tego powodu, że jest on Żydem za „nawoływanie do nienawiści” złamałby zasadę „*in dubio, pro reo*” – a także zasadę „*nullum crimen sine lege*”. Wchodziłoby w grę uznanie takiego hasła za „*publiczne znieważanie grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej albo z powodu jej bezwyznaniowości*”? Odnośnie takiego pytania nie wykluczam tego, że takim hasłem ktoś – np. kandydat na jakieś stanowisko będący Żydem – mógłby się poczuć obrażony. Zniewaga to też, powiedzmy sobie szczerze, cokolwiek śliskie – a także można powiedzieć – „gumowe” pojęcie. Ale oczywiście jest chyba, że we wspomnianym hasle żadnej obelgi nie ma. Nie przypuszczam więc, by jakiś sąd mógł uznać takie hasło za publiczne znieważenia grupy ludności albo poszczególnej osoby z powodu jej przynależności narodowej czy też wyznaniowej, podobnie, jak nie przypuszczam, by jakiś sąd mógł je uznać za „nawoływanie do nienawiści” na tle różnic narodowościowych czy wyznaniowych. Odpowiedź na postawione przez T. Żukowskiego pytanie „*Czy hasło „Nie głosuj na Żyda” może być w demokracji legalne?*” jest więc taka, że takie hasło nawet w tych demokracjach, które zakazują „mowy nienawiści” trudno byłoby uznać za naruszenie obowiązującego prawa.

Żukowski zadaje też pytanie „*Czy w razie, gdyby antysemita demokratycznie zdobyli władzę, mogliby legalnie dyskryminować Żydów za pomocą ustaw?*” i sam na nie odpowiada, że „*Z całą pewnością nie, ponieważ podstawowym założeniem demokracji jest równość obywateli i ich praw bez względu na rasę, pochodzenie etniczne czy wyznawaną religię*”. Żukowski ma z pewnością rację twierdząc, że w razie gdyby antysemita demokratycznie zdobyli władzę to nie mogliby legalnie dyskryminować Żydów za pomocą ustaw, ale co najmniej niekoniecznie ma rację, że właściwym środkiem zapobiegania takiej dyskryminacji jest istnienie w systemie prawnym i stosowanie przepisów tego rodzaju, co artykuły 256 i 257 polskiego kodeksu karnego. Jest tak z co najmniej dwóch powodów. Po pierwsze, jest w najlepszym wypadku niejasne, czy zakazy „mowy nienawiści” mogą zapobiec dojściu antysemitów – czy też np. rasistów – do władzy. W USA – gdzie „mowa nienawiści” nie jest – najogólniej rzecz biorąc – prawnie zakazana, człowiek wygłaszający całkiem wyraźnie rasistowskie poglądy zdobył – też, trzeba to powiedzieć, dzięki specyfice amerykańskiego systemu wyborczego – najwyższy urząd w państwie. Lecz władze

USA, czy to na poziomie federalnym czy stanowym nie składają się najogólniej rzecz biorąc z antysemitów, rasistów czy innego rodzaju nienawistników, a wygłoszenie jakiegoś antysemickiego czy rasistowskiego stwierdzenia na ogół oznacza dla polityka koniec jego kariery. Natomiast w państwach europejskich, w których „hate speech” jest uznawana za przestępstwo, politycy o całkiem wyraźnie rasistowskich poglądach – choć często ubieranych w taką szatę słowną, by do ich wypowiedzi nie przyczepił się prokurator – zdobywali całkiem szerokie poparcie społeczne. Ryzyko objęcia władzy przez (np.) antysemitów nie jest więc najprawdopodobniej zależne od tego, czy w danym państwie obowiązują przepisy w rodzaju art. 256 czy 257 polskiego k.k. – możliwe jest nawet, że w państwie z takimi zakazami takie ryzyko może być nawet cokolwiek większe, gdyż potencjalne groźba pociągnięcia do odpowiedzialności karnej za jakieś skrajne – znieważające, czy jawnie nienawistne wypowiedzi – może skłaniać antysemitów czy rasistów do wyrażania swoich poglądów w taki sposób, który wymknie się spod litery prawa, a który będzie czymś bardziej możliwym do przyjęcia dla szerokich kręgów społeczeństwa niż antysemickie czy rasistowskie wyzwiska – które w USA (jeśli nie stanowiłyby tzw. fighting words, czy też gróźb przemocy wobec konkretnych osób lub małych grup osób) byłyby legalne, natomiast w krajach europejskich mogłyby zostać uznane za przestępstwo. Ponadto, w prawidłowo działającej konstytucyjnej demokracji istnieją takie mechanizmy zapobiegania dyskryminacji takich czy innych grup z powodu ich rasy, religii, narodowości czy jeszcze innych cech – np. orientacji seksualnej – jak możliwość unieważniania na drodze sądowej aktów prawnych (czy konkretnych decyzji) władzy – także z tego powodu, że te akty prawne czy konkretne decyzje naruszają zasadę równego traktowania obywateli. Zauważmy tu przy okazji, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie nie ma zakazów „mowy nienawiści” w stylu np. artykułów 256 i 257 polskiego k.k. obowiązuje nader rozbudowane ustawodawstwo zabraniające dyskryminacji z takich powodów, jak przynależność narodowa, rasowa, wyznaniowa czy płeć. Nie jest w USA zakazane „nawoływanie do nienawiści” przeciwko takiej grupie ludzi, jak osoby LGBT (ani znieważanie takiej grupy) – a jednak w 2015 r. Sąd Najwyższy USA uznał, że osoby tej samej płci muszą mieć możliwość zawierania prawnie ważnych ślubów w całym kraju. Oczywiście, nie znaczy to, że w USA nie zdarza się dyskryminacja ludzi czy to z powodu ich rasy, czy też religii, czy orientacji seksualnej bądź jeszcze innych przyczyn (choć nie polega ona na stanowieniu dyskryminacyjnego prawa – to w Stanach Zjednoczonych jest zdecydowaną przeszłością). Zdarza się ona – jak najbardziej – podobnie, jak zdarzają się np. przestępstwa z nienawiści. Lecz mimo wszystko warto zauważyć, że w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat rasizm czy też antysemityzm w USA wybitnie osłabły – i dokonało się to nie tylko po prostu bez zakazów „mowy nienawiści” w stylu np. artykułów 256 i 257 polskiego kodeksu karnego – tego rodzaju przepisów w USA na szerszą skalę nigdy nie było – ale przy rozszerzeniu granic wolności słowa – np. w wyniku orzeczenia Sądu Najwyższego USA w sprawie Brandenburg v. Ohio z 1969 r. w którym stwierdzone zostało, że nawet zupełnie jawne nawoływanie do przemocy czy innego zakazanego prawem działania nie może być uznane za przestępstwo, z wyjątkiem sytuacji, gdy nawoływanie takie na celu podburzenie lub wywołanie

natychmiastowego bezprawnego działania i w sytuacji w jakiej ma ono miejsce, jest faktycznie prawdopodobne, że takie właśnie działanie nawoływanie to spowoduje. Natomiast np. we Francji, w której obowiązują rozciągliwe zakazy „mowy nienawiści” – w tym przepis zabraniający „prowokowania” do nawet takiej dyskryminacji, która nie jest *per se* nielegalna i całkiem częste są procesy sądowe za „hate speech” na rynku pracy, jak pisał dobrze znany w Polsce profesor Uniwersytetu w Oxfordzie Timothy Garton Ash, panuje „endemiczna dyskryminacja”, a na stadionach piłkarskich czymś częstym są rasistowskie śpiewy. Z kolei Joel Dreyfuss, były redaktor strony internetowej „The Root” stwierdził, że „*pod względem postępu w relacjach rasowych Francja bardziej przypomina Stany Zjednoczone w latach 50 – z wyjątkiem (prawnie) narzuconej segregacji – niż dzisiejszą Amerykę*”. W opublikowanym niedawno artykule „Dlaczego zakazy ‘mowy nienawiści’ są bez sensu?” przytaczając dane statystyczne wskazywałem na to, że badania na temat natężenia postaw antysemitowskich w różnych krajach, które co jakiś czas przeprowadza znana żydowska organizacja „Anti Defamation League” wykazują, że w Stanach Zjednoczonych, gdzie najbardziej nawet skrajne wypowiedzi o charakterze antysemitowskim są prawnie dozwolone (powiedzmy, z wyjątkami, kiedy są one bezpośrednią napaścią słowną na konkretną osobę, albo gdy stanowią one werbalne dręczenie konkretnej osoby, bądź groźby przemocy przeciwko takiej osobie i gdy wreszcie są one bezpośrednio w konkretnym przypadku niebezpiecznym podburzaniem do natychmiastowej przemocy) antysemitów jest mniej, niż w szeregu krajach, w których za antysemitowskie wypowiedzi grożą kary łącznie z więzieniem. We wspomnianym tekście wskazywałem też na to, że antysemitowskie, homofobiczne, rasistowskie i inne „nienawistne” przestępstwa są w szeregu krajach, w których „mowa nienawiści” jest prawnie zakazana i karana względnie częstszym – w stosunku do liczby ludności tych krajów – zjawiskiem, niż w USA, gdzie zakazów „mowy nienawiści” najogólniej rzecz biorąc nie ma. Tak więc, jakkolwiek przepisy tego rodzaju, co artykuły 256 i 257 polskiego kodeksu karnego teoretycznie rzecz biorąc mają stać na straży równości obywateli i ich praw bez względu na rasę, pochodzenie etniczne czy wyznawaną religię już na poziomie praktyk dyskursywnych to nie ma dowodów na to, by faktycznie zapewniały one taką równość. Jeśli nie da się wykazać, że w istotny sposób przyczyniają się one do osiągnięcia tej równości – bądź, że ich zniesienie przyniosłoby jakieś fatalne, niemożliwe do zaakceptowania efekty (takie, jak masowa i poważna przemoc na tle różnic narodowościowych, rasowych, religijnych itd.) – nie da się - logicznie rzecz biorąc - twierdzić, że są one potrzebne.

5. Bardzo przekonującą krytykę tego argumentu przedstawił prof. Andrew Koppelman w swym artykule „Is Pornography Speech?”.
6. Oczywiście jest to – o czym dalej piszę w tym tekście – że wypowiedzi jednych ludzi tak mogą wpłynąć na przekonania i emocje innych, że niektórzy z tych drugich mogą w następstwie owych przekonań i emocji coś – i to w dodatku niekoniecznie dobrego – zrobić, w tym również dokonać takiego czynu, jak np. zabójstwo. Nikt jednak – o czym również jest tu mowa – nie proponuje zakazania wszelkich wypowiedzi,

odnośnie których można twierdzić, że mogą mieć one czasem taki właśnie efekt. Przykładowo – czymś dobrze znanym są tzw. copycat crimes, czyli przestępstwa polegające na naśladowaniu jakiegoś przestępstwa (prawdziwego lub fikcyjnego) przedstawionego np. na filmie, czy też opisanego w książce, bądź w artykule prasowym lub internetowym. Takie rzeczy się niekiedy zdarzają – lecz nie zetknąłem się z pomysłem, żeby mówienie czy pisanie o przestępstwach (w tym takich, jak morderstwa) lub przedstawianie takich przestępstw np. na filmach miało być zakazane z tego powodu, iż przestępstwa przedstawiane w mediach znajdują czasem swych naśladowców. Podobnie, jak nikt zapewne nie wpadł na pomysł zakazania odprawiania w kościołach Mszy Świętych, gdzie jak wiadomo najważniejszym momentem jest tzw. Podniesienie – tj. chwila, gdy ksiądz wznosi kielich z winem przemieniającym się w tym momencie, jak wierzą katolicy (a także anglikanie) w Krew Chrystusa, a następnie pije to wino z tego powodu, że niejaki John George Haigh, powieszony w 1949 r. angielski „wampir” który rozpuszczał ciała swych ofiar w kadziach z kwasem siarkowym i pił ich krew przez słomkę według swych zeznań po raz pierwszy doznał „morderczych marzeń i wampirzych tęsknot” właśnie pod wpływem takiego widoku. I podobnie również, jak nikt – o ile mi wiadomo, nie zaproponował wprowadzenia zakazu wieszania w kościołach czy innych miejscach krucyfiksów z tego powodu, że krucyfiks wiszący w anglikańskiej katedrze w Wakefield wywierał na wspomnianym tu Johnie George’u Haigh’u tak potężne wrażenie, że pod wpływem jego widoku śnił on o całym lesie krzyży, z których ktoś zbierał krew do kubka i chciał mu dać ją do picia, lecz zanim do tego ostatecznego doszło, zawsze się on budził, zaś rozbudzone pod wpływem widoku wspomnianego krzyża pragnienie i niemożność jego zaspokojenia w jeszcze większym stopniu podsycalo jego mordercze żądze. Nikt też chyba – a w każdym razie nie żaden typowy zwolennik zakazów „mowy nienawiści” czy twardej pornografii - nie wpadł na pomysł tego, by zabronić publikowania prac francuskiego filozofa Jacques’a Ellul’a, który głosił pogląd, że współczesna technika tak naprawdę niszczy ludzi, czyniąc z nich swoich niewolników, bądź pisania o ludziach pierwotnych i nienaruszonej ludzką ręką przyrodzie z tego względu, że niejaki Theodore Kaczynski, amerykański terrorysta, znany jako Unabomber m.in. pod wpływem takich właśnie treści nabrał nienawiści do cywilizacji opartej na technice w następstwie czego postanowił mordować jej „agentów” za pomocą wysyłanych do nich z jego ukrytej w lasach Montany chatki bomb. Niedawno wdowa po zamordowanym w 2019 r. prezydencie Gdańska i obecna europosłanka Magdalena Adamowicz powiedziała, że jej męża zabiło słowo. Możliwe, że w jakimś sensie tak było – badający mordercę Pawła Adamowicza – Stefana Wilmonta - psychiatrzy stwierdzili, że atakując Adamowicza Stefan W. kierował się fobią ukierunkowaną na Platformę Obywatelską. Miał on winić polityków tej partii za stworzenie tzw. układu gdańskiego, czyli sieci kontaktów i powiązań pozwalających na kontrolowanie regionu, zaś sam deklarował się jako zwolennik PiS. Fobia Stefana W. musiała się w jakimś stopniu narodzić pod wpływem takich czy innych słów. Ostatecznie rzecz biorąc, tylko dzięki jakimś słowom Stefan W. mógł coś wiedzieć o Platformie Obywatelskiej czy o Prawie i Sprawiedliwości – podobnie jak np. ja tylko dzięki jakimś słowom wiem coś o tych organizacjach. Tylko

oczywiście dzięki jakimś słowom Stefan W. mógł nabrać przekonania, że Platforma Obywatelska robi coś bardzo złego – bez tego przekonania nie dokonałby on swojego zbrodniczego czynu. Lecz zadajmy sobie jednak pytanie: czy mówienie bądź pisanie o takich czy innych aferach wśród polityków, o ich związkach ze światem przestępczym, nieuczciwości, sprzedajności, korupcji itd. powinno być zabronione z tego powodu, że wśród ludzi, którzy nasłuchają bądź naczytają się o takich rzeczach czasem znajdzie jakiś najdelikatniej mówiąc świr, który w następstwie przekonań i emocji rozbudzonych przez takie czy inne programy telewizyjne, czy publikacje w prasie bądź Internecie postanowi dokonać zbrodni? Mówienia i pisanie ilu rzeczy, które mówi się i pisze np. o rządzącej obecnie Polską tzw. Zjednoczonej Prawicy – a zwłaszcza o PiS-ie – czy konkretnie np. Jarosławie Kaczyńskim można byłoby zakazać w oparciu o takie rozumowanie?

W tych wszystkich jednak przypadkach słowa – jakkolwiek mogły się pośrednio przyczynić do czyjejs śmierci – nie były jednak wprost przyczyną niczyjego zgonu. W odniesieniu do jakich przypadków można byłoby w sposób najbardziej sensowny mówić, że słowa bezpośrednio spowodowały czyjąś śmierć?

Otóż myślę, że takie przypadki są możliwe. Jakie mogą one być? Otóż, wyobraźmy sobie np. taką oto sytuację: ktoś przekazuje innej osobie informację, o której wie, że jest ona fałszywa i że może ona u tej osoby wywołać szok psychiczny – np. „Twojego (męża, syna itp.) 15 minut temu przejechał tramwaj”. Załóżmy, że osoba która otrzymała taką wiadomość dostaje ataku serca i umiera. W tym przypadku można chyba w sensowny sposób powiedzieć, że to słowa były czymś, co spowodowało atak serca i śmierć tej osoby. Niewykluczone jest, że ktoś, kto przekazałby innej osobie taką właśnie informację, w następstwie czego taka osoba by zmarła mógłby zostać nawet uznany winnym dokonania zabójstwa. Tak mogłoby być np. wówczas, gdyby zostało stwierdzone, że ktoś przekazujący innej osobie fałszywą informację o śmierci kogoś dla niej najbliższego w wypadku wiedział o tym, że osoba ta jest chora na serce i w związku z tym zdawał sobie sprawę z tego i musiał godzić się z tym, że otrzymanie przez nią takiej informacji może się skończyć dla niej zawałem i w jego rezultacie zgonem. Z pewnością winnym morderstwa mógłby zostać uznany ktoś, kto do niewidomego człowieka stojącego na skraju przepaści powiedziałby coś w rodzaju: „przepraszam bardzo, czy mógłby Pan zrobić dwa kroki do tyłu?” w rezultacie czego ten człowiek runąłby w przepaść, z której istnienia jako niewidzący nie zdawałby sobie sprawy. Taki więc przypadki, że słowa mogą być bezpośrednią przyczyną czyjejs śmierci – czy bezpośrednio prowadzić do niej (w przypadku owego niewidomego bezpośrednią przyczyną śmierci są obrażenia odniesione wskutek upadku z dużej wysokości, ale oczywiste jest jednak, że wypowiedzenie pewnych słów jest w tym przypadku niczym innym, jak specyficzną metodą dokonania zabójstwa). Zgodzimy się chyba jednak z tym, że tego rodzaju przypadki, aczkolwiek teoretycznie możliwe, nie są w praktyce zbyt typowe – zetknął się ktoś w praktyce z informacją o tego rodzaju zdarzeniach? Ponadto, w odniesieniu do przytoczonej przeze mnie hipotetycznej sytuacji, że ktoś dostawie zawału i umiera pod wpływem

przekazania mu fałszywej informacji śmierci najbliższej dla niego osoby chciałbym zauważyć, że jest możliwe, iż ktoś może dostać ataku serca i umrzeć w następstwie przekazania mu tego rodzaju informacji, która niestety jest prawdziwa. Powinno przekazywanie takich informacji być zakazane z tego względu, że dla ich adresatów mogą one czasem skutkować zgonem? Byłyby to chyba absurd – aczkolwiek zgadzam się, że może być czasem słuszne utrzymywanie osoby, do której miałyby dotrzeć taka informacja w niewiedzy o jakimś tragicznym zdarzeniu. Ile np. czasu leżąca w szpitalu matka Jarosława Kaczyńskiego Jadwiga była utrzymywana w nieświadomości tego, że drugi z jej synów Lech zginął w katastrofie lotniczej w Smoleńsku? Było to (o ile pamiętam) całkiem długo – uważa ktoś jednak takie postępowanie za niesłuszne? Moim zdaniem postępowanie to było absolutnie właściwe. Lecz właściwość tego postępowania była kwestią wrażliwości i wyczucia – nie wyobrażam sobie, by tego rodzaju postępowanie można było wymusić za pomocą środków prawnych.

Możemy sobie wyobrazić jeszcze inną sytuację, taką np. że czyjeś słowa doprowadzają kogoś innego do samobójstwa. Tu oczywiście jest możliwe, że ktoś za tego rodzaju słowa powinien ponieść odpowiedzialność prawną. Z pewnością czymś zakazanym powinno być bezpośrednio znęcanie się i pastwienie nad inną osobą – np. członkiem najbliższej rodziny, również wówczas, gdy owo znęcanie się przyjmuje formę czysto słowną – np. ustawicznych wyzwisk, poniżania, zastraszania itp. Targnięcie się przez ofiarę znęcania się – choćby czysto werbalnego – na własne życie zasadnie może być uznane za przesłankę zaostrożenia odpowiedzialności za przestępstwo – dodajmy, przestępstwo popełnione przy użyciu słów.

Lecz czasem – choć na pewno niezwykle rzadko – samobójstwo może ktoś popełnić pod wpływem wypowiedzi, która z pewnością nie była żadnym elementem znęcania się nad nim, lecz np. publikacją naukową. I tak np. istnieją przypuszczenia, że powodem samobójstwa amerykańskiego fizykochemika George'a Price'a (1922 – 1975) był szok wywołany lekturą artykułu brytyjskiego biologa ewolucyjnego W. D. Hamiltona „*The Evolution of Altruistic Behaviour*” – w wyniku której zrozumiał on, że wyznawane przez niego przekonania o naturalnej bezinteresowności ludzi były błędne. Twierdzenie, że słowa zawarte w artykule W. D. Hamiltona o ewolucji zjawiska altruistycznego zachowania zabiły George'a Price'a jest z pewnością nie mniej prawdziwe, niż twierdzenie, że słowa prezentowane w jakichś programach telewizyjnych czy tekstach publikowanych w prasie czy w Internecie zabiły Pawła Adamowicza. Proponowałby ktoś jednak zakazać publikowania takich – przykładowo – tekstów, jak wspomniany artykuł W. D. Hamiltona z tego powodu, że ktoś w następstwie ich lektury i będącego jej rezultatem zrozumienia błędności swoich głęboko wcześniej wyznawanych przekonań popełni samobójstwo? Chyba dla każdego pomysł taki byłby oczywistym absurdem. Tak więc używanie twierdzenia, że „słowo może zabić” jest w dyskusjach na temat granic wolności słowa czymś na ogół bez sensu. Przypadki, w których słowa są rzeczywiście bezpośrednią przyczyną czyjejś śmierci są czymś wysoce nietypowym – tak nietypowym, że można mieć wątpliwość, czy faktycznie się one zdarzyły. Czy miało gdzieś kiedyś miejsce takie

zdarzenie, że ktoś do stojącego na krawędzi przepaści niewidomego człowieka powiedział „proszę zrobić krok do tyłu” wskutek czego ten człowiek spadł w przepaść? Przypadek taki jest, owszem, łatwo wyobrażalny, ale nie zetknąłem się nigdy z informacją o jakimś tego rodzaju rzeczywistym zdarzeniu. Z kolei jeśli chodzi o przypadki tego rodzaju, że jakieś wypowiedzi przekonały kogoś do poglądów czy wywołały u niego emocje, w następstwie których ten ktoś popełnił przestępstwo – w tym również takie, jak zabójstwo (lub powiedzmy, przestępstwo potencjalnie niebezpieczne dla ludzkiego życia, takie, jak spowodowanie podłożenie czy zdetonowanie bomby albo podpalenie) to gdyby zakazać wszelkich rodzajów wypowiedzi, które miewają czasem tego typu efekty, to doprawdy bardzo niewiele zostałyby z wolności słowa.

Można też oczywiście wskazać na sytuacje tego rodzaju, że czyjeś słowa w zamierzony przez niego sposób bezpośrednio pobudzają innych do przestępczego działania, w tym również takiego, które skutkuje czyjąś śmiercią. Takie słowa w zasadny sposób mogą być przedmiotem odpowiedzialności prawnej. Nikt nie twierdzi chyba, że wolność słowa powinna chronić przed odpowiedzialnością karną czy cywilną kogoś, kto np. podburza już rozwścieczony tłum do fizycznego ataku na kogoś będącego obiektem gniewu owego tłumu. Lecz – zakładając czyjąś śmierć z rąk rozwścieczonego i zachęconego do użycia przemocy tłumu – to nie słowa są bezpośrednią przyczyną śmierci takiej osoby – lecz użycie fizycznej przemocy, które pozostawało w bezpośrednim związku przyczynowo – skutkowym z użyciem przez kogoś takich czy innych słów. Tak więc również w odniesieniu do takiego przypadku należy powiedzieć, iż stwierdzenie, że „słowa zabiły” może być jedynie pewnym myślowym skrótem. Twierdzenia, że słowa mogą zabijać nie da się traktować inaczej, niż jako przenośni i metafory.

7. Pisałem o tym kiedyś m.in. w tekście „Pornografia i gwałty - usprawiedliwienie dla cenzury?”.
8. Przykładem dotyczącym człowieka kłamliwie krzyżącego „pożar!” w teatrze i wywołującego przez to panikę posłużył się sędzia Holmes w uzasadnieniu swej opinii w sprawie Schenk v. United States. Inna rzecz, że fakty, o które chodziło w tej sprawie z żadnym krzyżeniem „pożar!” w teatrze czy jakimkolwiek innym miejscu nie miały nic wspólnego – chodziło w niej o propagandę antywojenną w czasie I wojny światowej, która, co warto podkreślić, ani nie wzywała do złamania prawa, ani do złamania prawa nie doprowadziła. Użycie wspomnianego przykładu najprawdopodobniej miało na celu wykazanie, że I Poprawka do Konstytucji mimo jej literalnie rzecz biorąc bezwzględne brzmienia „Kongres nie może uchylać ustaw ograniczających wolność słowa lub prasy” musi być interpretowana jako pozwalająca na pewne ograniczenia gwarantowanych przez nią wolności.
9. Odnośnie wspomnianych przeze mnie okrzyków rapera Pei Maciej Zowczak i Mateusz Żyła napisali w swym artykule „Nawoływanie do popełnienia przestępstwa a

wolność słowa na podstawie Brandenburg v. Ohio” że były one „idealnym przykładem wypowiedzi, które przechodzą (tzw.) test Brandenburga”. Określenie to pochodzi od wyroku Sądu Najwyższego USA w sprawie Brandenburg v Ohio z 1969 r. w którym Sąd Najwyższy USA stwierdził, że „konstytucyjne gwarancje wolności słowa i prasy nie pozwalają stanowi na zakazanie propagowania użycia siły lub złamania prawa, chyba, że takie propagowanie ma na celu podburzenie lub wywołanie natychmiastowego bezprawnego działania i jest prawdopodobne, że podburzy lub wywoła takie działanie”. Jakkolwiek rzadko można się spotkać z wypowiedziami spełniającymi powyższe kryterium, okrzyki Pei spełniały je wręcz idealnie: ponad wszelką wątpliwość miały one na celu wywołanie natychmiastowego działania sprzecznego z prawem i również w bezdyskusyjny sposób było prawdopodobne, że mogły one spowodować takie działanie. Swoją drogą, to, że okrzyki rapera Pei podczas koncertu w dniu 12 września 2009 r. w Zielonej Górze stanowiły klasyczny przykład wypowiedzi, która zgodnie z regułami ustanowionymi przez Sąd Najwyższy USA w sprawie Brandenburg v. Ohio mogłaby zostać uznana za przestępstwo odnotowałem swego czasu w artykule „Czy publiczne nawoływanie do popełnienia przestępstwa powinno być przestępstwem – a jeśli tak, to kiedy?”.

10. Nie mam tu na myśli tak bardzo jakichś reżimów jawnie zbrodniczych – takich, jak hitlerowskie Niemcy, gdzie samo państwo czynnie uprawiało antysemitką propagandę, ale raczej reżimy tego typu, co PRL w czasach postalinowskich. W Polsce „ludowej” mnóstwo rzeczy było oczywiście zakazanych, nie mówiąc już o tym, że istniała prewencyjna cenzura. Ale ukazała się w niej np. – w ramach słynnej niegdyś serii „z tygrysem” – książka Roberta Weissa „Ostatni zamach na Hitlera”. Książkę tę przeczytał niejaki Stanisław Jaros i pod jej wrażeniem wpadł na pomysł dokonania zamachu na Gomułkę i Chruszczowa – dodajmy, że zamach się nie udał (choć w jego wyniku ciężko ranna została 13 – letnia dziewczynka), zaś sam Jaros za jego dokonanie skończył na szubienicy. Książka ta została wydana przez państwowe wydawnictwo – w latach 50. w Polsce innych nie było. Prawdopodobnie ani autor tej książki, ani jej wydawcy nie przypuszczali, że książka ta może zainspirować kogoś do popełnienia zbrodni. Ale fakt jest taki, że zainspirowała. Historia ta – o której wspominałem jakiś czas temu w tekście „’Kłątwa’ i publiczne nawoływanie do popełnienia zbrodni” – pokazuje – obok wielu innych – że myśl o zakazaniu wszelkich potencjalnie niebezpiecznych, mogących czasem prowadzić do popełnienia przestępstwa wypowiedzi jest po prostu absurdem.
11. Czy w odniesieniu do jakichś wypowiedzi można w sensowny sposób twierdzić, że wypowiedzi te są przemocą – co trzeba odróżnić od twierdzenia, że wypowiedzi te mogą prowadzić, lub nawet, że po prostu prowadzą do przemocy? Moim zdaniem, pojęcie przemocy słownej w sposób najbardziej sensowny odnosi do pewnych wypowiedzi bezpośrednio kierowanych do konkretnych osób, zwłaszcza, gdy padają one z ust ludzi, którzy z takich czy innych względów mają nad tymi osobami przewagę. Darcie się przez rodzica na dziecko, besztanie ucznia przez nauczyciela przy całej klasie (lub nawet tylko w jego obecności), wyzywanie pracownika od

leniów, nierobów, idiotów, łamag, nieudaczników itp. przez przełożonego czy pracodawcę – to właśnie są przykłady wypowiedzi, które w sensowny sposób można określić mianem werbalnej przemocy. Natomiast nazywanie przemocą obraźliwej, ale niekierowanej twarzą w twarz do konkretnych, przymuszonych wbrew własnej woli do jej słuchania „mowy nienawiści” „przemocą” jest dokładnie czymś takim, jak nazywanie pornografii gwałtem. Bądź kryminału morderstwem.

12. Można zadać pytanie, w jakim stopniu prawo do swobody wypowiedzi powinno chronić wolność przedstawiania i szerzenia nieprawdziwych informacji. Na pytanie to można odpowiedzieć – wydaje mi się – w taki sposób, że nikt prawdopodobnie nie jest zdania, że czymś prawnie dopuszczalnym – i chronionym przez zasadę wolności słowa – powinno być rozpowszechnianie wszelkich informacji niezgodnych z prawdą – gdyby tak było, to wolność słowa powinna chronić prawo do oszukańczej reklamy handlowej, do zniesławiania innych osób poprzez świadome mówienie lub pisanie o nich kłamstw i wreszcie do świadomie fałszywego krzyczenia „pożar!” w pełnym ludzi teatrze i wywoływania groźnej w skutkach paniki. Z drugiej strony, chciałbym również zauważyć, że nikt też – zdaje się – nie twierdzi, że czymś prawnie zabronionym powinno być szerzenie jakichkolwiek niezgodnych ze stanem faktycznym informacji. Coś takiego prowadziło by np. do delegalizacji bajek czy baśni dla dzieci (które, przynajmniej gdy są małe, często wierzą w ich prawdziwość) – chciałby ktoś jednak czegoś takiego? Są – choć oczywiście stanowią margines – ludzie, którzy głoszą bez wątpienia nieprawdziwe teorie np. o tym, że Ziemia jest płaska, bądź – jeszcze lepiej – wydrążona. Gdyby prawo do wolności słowa bezwzględnie nie obejmowało szerzenia niezgodnych z prawdą twierdzeń, karanie takich ludzi za ich wypowiedzi należałoby uznać za całkowicie usprawiedliwione. Nikt jednak nie proponuje – o ile mi wiadomo – uznania takich wypowiedzi za przestępstwo.

Przywołując zaś klasyczny przykład fałszywego krzyczenia „pożar!” w teatrze warto zauważyć – na co zwraca uwagę Donald D. Rotunda w swym artykule „The Right to Shout Fire in a Crowded Theatre: Hateful Speech and the First Amendment”, że nie każde krzyczenie „pożar!” w takim miejscu jak teatr czy też kino powinno być czymś prawnie zakazanim. Po pierwsze, prawnie dozwolone powinno być (i jest) takie krzyczenie „pożar!” w teatrze, które jest zgodne z prawdą – gdyby nie było, to również alarmy przeciwpożarowe w teatrach czy kinach byłyby zakazane. Po drugie, z prawnego punktu widzenia dozwolone powinno być takie krzyczenie „pożar!” w teatrze, które wprawdzie nie odpowiada rzeczywistym faktom, lecz dokonane jest w dobrej wierze. Np. gdy jakiś widz zaniepokojony widokiem unoszącego się ze sceny dymu, będącego w rzeczywistości sublimującym suchym lodem krzyczy „pożar!” – na co znajdujący się na scenie aktor odpowiada: „spokojnie, to zestalony dwutlenek węgla, który w następnym akcie będzie wykorzystany przez magika do zrobienia sztuczki”. Po trzecie wreszcie, nie powinno być karalne takie krzyczenie „pożar!” w teatrze, które jest wprawdzie fałszywe – i ktoś krzyżący tak wie o jego fałszywości – ale które w okolicznościach, w jakich ma miejsce jest niegroźne. Wyobraźmy sobie

taką sytuację, że jakiś widz teatralny czy też kinowy głośno z kimś rozmawia podczas przedstawienia bądź seansu i przeszkadza innym w jego oglądaniu – w związku z czym woźni postanawiają go wyprowadzić. W momencie, gdy jegomość jest odprowadzany do drzwi zaczyna on krzyczeć „pożar!” – względnie „powódź!” czy też „inwazja!”. Na takie okrzyki publiczność – według wszelkiego prawdopodobieństwa – zareagowałaby śmiechem, a nie paniką. Czy ktoś taki powinien zostać ukarany z kłamliwe krzyczenie „pożar!” w teatrze? Sądzę, że I Poprawka do Konstytucji USA nie chroniłaby kogoś takiego przed jakąś karą za zakłócanie przedstawienia i przeszkadzanie innym w jego odbiorze – pod jednym warunkiem – takim mianowicie, że regulacja prawna w oparciu o którą na kogoś takiego zostałaby nałożona taka kara byłaby treściowo neutralna – tzn. kara byłaby przewidziana za zakłócanie np. przedstawienia teatralnego czy filmowego seansu poprzez krzyczenie czegokolwiek, a nie za krzyczenie jakichś określonych słów. Z pewnością natomiast ktoś taki nie mógłby zostać skazany za wywołanie rozruchów czy też paniki, ponieważ panika w takim, jak opisany tu przypadku po prostu by nie wybuchła. Przykład ten pokazuje jedno: powodem uzasadniającym karalność pewnych kłamliwych wypowiedzi jest ich niezgodność z prawdą, świadomość autora odnośnie tej niezgodności, oraz bezpośrednio i konkretnie szkodliwe skutki – z możliwości wywołania których autor wypowiedzi w pełni zdaje sobie sprawę – a nie sama ich fałszywość jako taka.

13. Moim zdaniem, na tle całokształtu orzecznictwa amerykańskiego Sądu Najwyższego w sprawach dotyczących wolności słowa uznanie, że tzw. „obsceniczność” nie jest chroniona przez I Poprawkę jest najogólniej mówiąc dziwactwem. Pisałem o tym kiedyś w tekście „Pornografia i gwałty - usprawiedliwienie dla cenzury?”. Niektórzy sędziowie Sądu Najwyższego USA byli podobnego zdania, jednak nigdy nie znalazło się – jak dotąd – przynajmniej pięciu sędziów, którzy by uznali, że „obsceniczność” jest jednak w jakimś przynajmniej zakresie (np. gdy jest adresowana wyłącznie do dorosłych i chcących ją oglądać odbiorców) konstytucyjnie chroniona.
14. Zob. sprawę Brandenburg v. Ohio (1969).
15. Zob. sprawę Cohen v. California (1971).
16. Na temat „fighting words” zob. przypis 3.
17. Zob. sprawę Hustler Magazine v. Falwell (1988) Zob. też mój tekst na jej temat.
18. Zob. sprawy Texas v. Johnson (1989), United States v. Eichmann (1990) (palenie flagi) oraz R.A.V. v. City of Saint Paul (1992) i Virginia v. Black (2003) (palenie krzyża).
19. Zob. opinię Sądu Apelacyjnego Stanów Zjednoczonych dla VII Okręgu w sprawie Collin v. Smith (1978) Zob. też opinię sądu federalnego I instancji w tej samej sprawie.

20. Pozwolę sobie – w kontekście artykułu Jacoba Mchangamy – na drobną uwagę: w Wielkiej Brytanii do skazania kogoś za „mowę nienawiści” (przepisy odnośnie której zawarte są w części III oraz III a Ustawy o Porządku Publicznym z 1986 r.) nie jest wymagane wykazanie tego, że „mowa” ta w konkretnym przypadku spowodowała jakieś zakłócenie porządku publicznego, bądź bezpośrednio groziła jego wywołaniem. Wymagane jest tylko to, by miała ona – w przypadku, gdy chodzi o wypowiedzi o charakterze rasistowskim (czy wypowiedzi dotyczących grup narodowościowych bądź etnicznych) charakter „groźący” (*threatening*) „obelżywy” (*abusive*) lub „znieważający” (*insulting*) i albo *miała na celu* pobudzenie nienawiści, albo też *mogła* w danych okolicznościach taką nienawiść pobudzić. Zakazy „mowy nienawiści” dotyczącej grup wyznaniowych czy osób odznaczających się taką lub inną orientacją seksualną są węższe: karalne są tylko takie wypowiedzi, które są „groźące” i które mają na celu pobudzanie do nienawiści przeciwko grupom, do których się one odnoszą. Ponadto istnieją wyjątki od takich zakazów – nie są karalne np. wypowiedzi znieważające religię jako taką, nie mogą być też karane takie np. wypowiedzi, które po prostu krytykują ideę jedнопłciowych małżeństw. Pomimo tych ograniczeń zakaz „mowy nienawiści” w Wielkiej Brytanii jest jednak całkiem szeroki. Przesłęstwem jest używanie „mowy nienawiści” zarówno w miejscu publicznym, jak i prywatnym, z wyjątkiem mieszkania – pod warunkiem, że nie jest ona słyszana bądź widziana przez osoby znajdujące się w tym samym lub innym mieszkaniu (nie można więc zostać skazanym za jakąś np. rasistowską wypowiedź w swoim własnym domu z tego np. powodu, że wypowiedź tę usłyszał mieszkający piętro wyżej sąsiad). Jest oczywiście przestęstwem publikowanie i rozpowszechnianie „mowy nienawiści”, a także samo posiadanie materiałów zawierających taką „mowę” jeśli ma to na celu ich wystawienie, upublicznienie czy rozpowszechnienie. Dodatkowo, kary przewidziane za „hate speech” są w Wielkiej Brytanii wyjątkowo surowe – sięgają one nawet 7 lat więzienia, co jest, jak się zdaje, najwyższym zagrożeniem za tego typu przestęstwo w Europie i jednym z najwyższych na świecie (choć z drugiej strony pewnym ogranicznikiem stosowania praw przeciwko „mowie nienawiści” w Wielkiej Brytanii jest to, że wszczęcie postępowania karnego w sprawie o taką „mowę” wymaga – przynajmniej w Anglii i w Walii – zgody Prokuratora Generalnego). Wszystko to nie zmienia faktu, że Wielka Brytania ma – o czym pisałem w tekście „Dlaczego zakazy ‘mowy nienawiści’ są bez sensu?” bardzo wysoki poziom „przesłęstw z nienawiści” tego rodzaju, co akty przemocy czy destrukcji mienia – o wiele w każdym razie większy niż ten, który istnieje w Stanach Zjednoczonych, gdzie „mowa nienawiści” nie jest – najogólniej rzecz biorąc – prawnie zakazana.
21. Zniesienie wolności słowa mogłoby jednak prowadzić także do ograniczenia, czy nawet zniesienia (np.) niezawisłości sądów – władze mogłyby zakazać krytykowania przepisów ograniczających niezawisłość sędziów, czy nawet pomysłu wprowadzenia takich przepisów.

22. Pisałem o tym kiedyś w swym tekście „Krótki komentarz do wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie przestępstwa znieważania funkcjonariusza publicznego”.
23. Odniosłem się swego czasu do tego w artykule „Odpowiedzialność za zniesławienie po wyroku Trybunału Konstytucyjnego (12.05.2008): lepiej niż było, ale wciąż niezadowolająco”.
24. Pisałem o tym w tekście „Trybunał Konstytucyjny: wróg wolności słowa”. W tekście tym – opublikowanym w październiku 2015 r. – odnotowałem pewną anty-wolnościową ewolucję orzecznictwa TK w sprawach dotyczących wolności słowa. Ewolucję tą można sobie uświadomić, jeśli porówna się wspomniany w tym artykule wyrok TK z 2006 r. w sprawie zgodności z konstytucją art. 226 § 1 kodeksu karnego, który, zanim ten wyrok zapadł, przewidywał karę grzywny, ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch dla kogoś, kto znieważa funkcjonariusza publicznego albo osobę do pomocy mu przybraną podczas *lub* w związku z pełnieniem obowiązków służbowych, z wydanym w 2015 r. wyrokiem w sprawie przestępstwa „obrazy uczuć religijnych” (art. 196 k.k.). W pierwszym z tych wyroków TK orzekł, że o ile czymś konstytucyjnie dopuszczalnym jest karanie za takie znieważenie funkcjonariusza publicznego lub pomagającej mu osoby, które ma miejsce podczas i w związku z wykonywaniem przez niego obowiązków służbowych, to nie jest czymś zgodnym z konstytucją karanie kogoś, kto znieważa funkcjonariusza publicznego bądź jego pomocnika w związku z pełnieniem przez niego rzeczonych obowiązków, ale nie podczas pełnienia tych obowiązków (a także podczas pełnienia tych obowiązków, lecz nie w związku z nimi – choć to łatwo mogłoby zostać uznane za karalną zniewagę, o której mowa w art. 216 k.k.). Twierdzenie, że karalność znieważenia funkcjonariusza publicznego nie w każdym przypadku jest konstytucyjnie dopuszczalna musiało się, logicznie rzecz biorąc, opierać na poglądzie, że zniewagi nie są takim rodzajem wypowiedzi, którego konstytucja bezwzględnie nie chroni, lecz raczej na poglądzie, że karalność zniewag jest dopuszczalna wówczas, gdy jest ona konieczna dla osiągnięcia jednego lub więcej z celów, o których mowa jest w art. 31 ust. 3 konstytucji, tj. bezpieczeństwa państwa, porządku publicznego, ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób. Owszem, interpretacja pojęcia „konieczności w demokratycznym państwie” musiała być w sprawie dotyczącej przestępstwa znieważanie publicznego raczej - co tu dużo mówić - szeroka (czy chronienie funkcjonariuszy publicznych – np. policjantów – przed kierowanymi do nich podczas i w związku z pełnieniem przez nich obowiązków służbowych obraźliwymi słowami jest naprawdę konieczne w tym celu, by funkcjonariusze ci mogli prawidłowo wykonywać swoje obowiązki?), ale jakiś – bardzo choćby luźny – test takiej „konieczności” musiał zostać we wspomnianej sprawie zastosowany – gdyby nie był, to artykuł 226 § 1 k.k. w całej swej rozciągłości zostałby uznany za zgodny z konstytucją. Natomiast w wydanym w 2015 r. orzeczeniu w sprawie przestępstwa „obrazy uczuć religijnych” TK stwierdził, że: „*W ocenie Trybunału Konstytucyjnego, art. 196 k.k. nie narusza istoty wolności wyrażania poglądów, o której mowa w art. 54 ust. 1 konstytucji. Trudno bowiem*

uznać, że istota swobody wypowiedzi sprowadza się do wyrażania poglądów znieważających czy obrażających uczucia innych osób, a więc okazywania pogardy za pomocą obraźliwych lub poniżających sformułowań, gestów, które nie podlegają kwalifikacji w kategoriach prawdy i fałszu". Ten fragment wspomnianego orzeczenia zmienia wiele w porównaniu z orzeczeniem w sprawie znieważenia funkcjonariusza publicznego. O ile bowiem z orzeczenia z 2006 r. logicznie rzecz biorąc wynikało to, że nie jest tak, iż zniewagi są konstytucyjnie niechronione w jakiegokolwiek sytuacji i że zgodnie z konstytucją mogą być one karane zawsze, to coś właśnie takiego wynika z wyroku w sprawie przestępstwa „obrazy uczuć religijnych”. Pogląd ten opiera się nie tak bardzo na twierdzeniu, że karanie za zniewagi jest „konieczne w demokratycznym państwie” dla osiągnięcia takich czy innych celów (np. ochrony porządku publicznego czy praw lub wolności innych osób) ile raczej na opinii, że wyrażanie poglądów znieważających czy obrażających uczucia innych osób, a więc okazywanie pogardy za pomocą obraźliwych lub poniżających sformułowań, gestów, które nie podlegają kwalifikacji w kategoriach prawdy i fałszu nie jest istotą wolności wyrażania poglądów, o której mowa w art. 54 ust. 1 konstytucji. Tak więc, z zawartego w art. 31 ust. 3 konstytucji zapisu, w myśl którego „*Ograniczenia w zakresie korzystania z konstytucyjnych wolności i praw mogą być ustanawiane tylko w ustawie i tylko wtedy, gdy są konieczne w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób*” i powiedziane jest w nim ponadto, że „*Ograniczenia te nie mogą naruszać istoty wolności i praw*” Trybunał Konstytucyjny za najważniejsze uznał (przynajmniej w sprawach dotyczących granic wolności słowa) to ostatnie zdanie. Jeśli jakieś wypowiedzi są tego rodzaju, że nie mieszczą się one – według TK – w „istocie” gwarantowanej przez art. 54 ust. 1 konstytucji wolność wyrażania swoich poglądów oraz pozyskiwania i rozpowszechniania informacji, to mogą one zostać zakazane i Trybunał Konstytucyjny rozpatrując kwestię zgodności z konstytucją przepisów zakazujących takich wypowiedzi nie musi w jakimkolwiek stopniu wglębiać się w kwestię tego, czy dany zakaz jest „konieczny w demokratycznym państwie” dla osiągnięcia jakichś wymienionych w art. 31 ust. 3 Konstytucji celów, czy też nie. Za nienależące do istoty wolności słowa TK uznał nie tylko wypowiedzi znieważające, poniżające czy obraźliwe, ale także wypowiedzi „lekceważące” (przynajmniej wówczas, gdy odnosząc się one do „*podmiotów najistotniejszych z konstytucyjnego punktu widzenia*”, takich jak Naród, Państwo i jego konstytucyjne władze), jak również posługiwanie się „*argumentami ad personam*” oraz „*językiem marginesu społecznego*”.

Trybunał Konstytucyjny generalnie rzecz biorąc stwierdził więc, że konstytucyjnej ochronie już wstępnie nie podlegają takie wypowiedzi, które spotykają się z dezaprobatą ze strony społeczeństwa, czy też po prostu jego rządzącej i stanowiącej prawo elity. To oczywiście jest postawienie konstytucyjnego prawa do swobody wypowiedzi na głowie: jeśli w systemie prawnym, w którym prawa stanowi będący reprezentacją większości społeczeństwa parlament coś stanowi istotę

konstytucyjnej – a więc będącej ponad wolą zwykłej większości – ochrony wolności słowa, to istotą tą jest to, że parlamentarna większość nie ma prawa zakazywać jakichś wypowiedzi z tego po prostu powodu, że większość społeczeństwa ich nie aprobuje. To nie znaczy jeszcze, że władze nie mogą zakazywać jakichkolwiek rodzajów wypowiedzi. Jak pisałem w tym tekście (i niektórych innych) zwolennicy nawet wyjątkowo daleko posuniętej swobody wypowiedzi zgadzają się z tym, że pewne rodzaje ekspresji mogą być prawnie zabronione i karalne. Nikt, przykładowo, nie twierdzi, że czymś bezkarnym powinny być wypowiedzi celowo i bezpośrednio prowadzące do przemocy, że bezkarne powinno być zastraszanie ludzi i zmuszanie ich do takiego czy innego postępowania poprzez grożenie im przemocą, że czymś prawnie dopuszczalnym powinno być ruinowanie reputacji ludzi poprzez świadome publikowanie zniesławiających kłamstw na ich temat, bądź że dopuszczalne powinno być produkowanie i rozpowszechnianie pornografii z udziałem dzieci. Zakazy takich wypowiedzi uzasadnione są jednak ich skutkami, a nie po prostu i wyłącznie tym, że takie wypowiedzi są z powodu samej ich tylko treści nieakceptowane przez społeczeństwo. Polski Trybunał Konstytucyjny najwyraźniej uznał jednak, że społeczna dezaprobata dla takich czy innych wypowiedzi jest dostatecznym powodem ich prawnego zakazu.

Co TK chciał osiągnąć ograniczając tak zakres konstytucyjnie chronionej wolności słowa? Z pewnych fragmentów orzeczeń w sprawie zgodności z konstytucją przepisów zabraniających obrażania uczuć religijnych oraz „demonstracyjnego okazywania w miejscu publicznym lekceważenia Narodowi Polskiemu, Rzeczypospolitej Polskiej lub jej konstytucyjnym organom” zdaje się wynikać, że wartością, którą Trybunał Konstytucyjny chciał chronić akceptując jako zgodne z konstytucją ustawowe ograniczenia swobody wypowiedzi jest kultura debaty publicznej. W uzasadnieniu obu wspomnianych wyroków TK (jeszcze ten „dobry” Trybunał Andrzeja Rzeplińskiego) stwierdził, że debata publiczna na taki czy inny temat *„powinna toczyć się w sposób cywilizowany i kulturalny, bez jakiegokolwiek szkody dla praw i wolności człowieka i obywatela”*. Czy jednak ograniczenie zakresu konstytucyjnie chronionych wypowiedzi do takich, które mają charakter „cywilizowany” i „kulturalny” nie wyrządza aby żadnej szkody dla praw i wolności człowieka i obywatela? Otóż, moim zdaniem na zdrowy rozum takie ograniczenie zakresu wolności słowa wyrządza szkodę dla praw i wolności tych ludzi, którzy w sposób cywilizowany i kulturalny wypowiadać się nie umieją, albo też i nie chcą.

Mógłby ktoś powiedzieć, że jeśli wspomniane powyżej ograniczenie zakresu konstytucyjnie gwarantowanej wolności słowa szkodzi czyimś prawom i wolnościami, to co najwyżej prawom i wolnościami chamów. Jednak problem z tego rodzaju stwierdzeniem jest taki, że konstytucja chroni – a w każdym razie chronić powinna – prawa wszystkich – nie tylko ludzi grzecznych i kulturalnych. Nie znaczy to oczywiście, że „chamy” powinny mieć zagwarantowaną wolność robienia czegokolwiek. Ktoś, kto odnosi się z pogardą do Kościoła czy religii nie powinien mieć w sposób bezkarny np. zakłócić obraźliwymi czy wulgarnymi (i jakimikolwiek

innymi) okrzykami odprawianego w kościele nabożeństwa. Ktoś darzący niechęcią jakąś publiczną osobę nie powinien być na mocy swojego prawa do wolności słowa uprawniony do tego, by swymi okrzykami zagłuszać tę osobę w czasie, gdy ona przemawia. Te ograniczenia wolności chamów uzasadnione są jednak potrzebą ochrony praw i wolności innych osób (nawiasem mówiąc, też mogących być chamami) a nie *per se* samym chamstwem wspomnianych przykładowo zachowań.

I czy ponadto można w sposób poważny twierdzić, że „niekulturalne” – a więc np. znieważające, czy „lekceważące” wypowiedzi nie mieszczą się – jak wynika ze zdań zawartych w wyrokach Trybunału Konstytucyjnego – w istocie wolności słowa? Dobrej odpowiedzi na to pytanie dostarczają, jak mi się wydaje, niedawne protesty przeciwko decyzji Trybunału Konstytucyjnego, który uznał za niezgodne z konstytucją przepisy „ustawy antyaborcyjnej” z 1993 r. pozwalające na przerwanie ciąży z powodu ciężkiego i nieuleczalnego uszkodzenia płodu (na temat tego orzeczenia zob. mój tekst). Podczas tych protestów było widać i słychać takie m.in. hasła, jak „Wypierdalać”, „Jebać PiS”, „Trzeba było nas nie wkurwiać”, „Krzysztof Bosak, wypierdaj!” czy „Kaja Godek, wypierdaj!”. O hasłach można byłoby powiedzieć, że są one znieważające, chamskie i że używany jest w nich „język marginesu społecznego”. Ale czy o hasłach tych można byłoby powiedzieć, że ich wykrzykiwanie czy umieszczanie ma transparentach nie należało do istoty wolności słowa?

Moim zdaniem tak można byłoby powiedzieć tylko i wyłącznie przy jednym założeniu – takim mianowicie, że prawo do wolności słowa nie chroni czegoś takiego, jak emocjonalny aspekt wypowiedzi. Że obejmuje ono tylko czysto racjonalną debatę. Czy można jednak w sensowny sposób tak twierdzić? Przyjrzyjmy się jeszcze raz, z tego akurat punktu widzenia wspomnianym powyżej hasłom. Dla wszystkich jest chyba oczywiste, że hasła te wyrażały wściekłość wobec decyzji Trybunału Konstytucyjnego znoszącej dopuszczalność aborcji z powodów – zdaniem jednych – embriopatologicznych – zaś według innych – eugenicznych. A także wściekłość na samą partię Prawo i Sprawiedliwość i osoby, które przyczyniły się do wydania wspomnianej decyzji czy też ją poparły.

Można byłoby wyrazić sprzeciw wobec decyzji TK w inny sposób, bez uciekania się do używania słów obraźliwych i wulgarnych? Jak najbardziej. Można było napisać na jej temat taki np. tekst, jak ja osobiście napisałem – wykazywałem w nim możliwe logicznie rzecz biorąc, a jednocześnie mało jak sądzę przez kogo akceptowane konsekwencje tej decyzji. Hasła zamiast „wypierdalać” czy „jebać PiS” mogłyby cokolwiek grzeczniej głosić „PiS musi odejść” czy „nie lubimy PiS-u”. Takie hasła z pewnością jednak nie wyrażałyby w tak dobitny sposób oburzenia decyzją TK, jakie odczuwali organizatorzy czy uczestnicy niedawnych demonstracji.

Przytoczone hasła demonstracji przeciwko decyzji TK w sprawie dopuszczalności aborcji z powodu ciężkiego uszkodzenia płodu nie stanowiły przestępstwa (odnośnie

hasła „*Krzysztof Bosak, wypierdalaj!*” i „*Kaja Godek, wypierdalaj!*” można byłoby się ewentualnie zastanawiać nad tym, czy nie dałoby się ich uznać za ściganą z oskarżenia prywatnego zniewagę, ale też nie jest to dla mnie oczywiste), choć można by je było – jak sądzę – uznać za naruszenie już i tak ograniczającego w jakimś stopniu wolność słowa art. 141 kodeksu wykroczeń, w myśl którego ten, kto „*w miejscu publicznym umieszcza nieprzyzwoite ogłoszenie, napis lub rysunek albo używa słów nieprzyzwoitych, podlega karze ograniczenia wolności, grzywny do 1500 złotych albo karze nagany*”. Lecz gdyby władze wprowadziły jakiś przepis w pełnym znaczeniu tego słowa kryminalizujący wspomniane wcześniej hasła – np. przewidujący karę za publiczne znieważenie grupy społecznej tego rodzaju, co członkowie jakiejś partii politycznej – to Trybunał Konstytucyjny, jeśli tylko kierowałby się rozumowaniem zaprezentowanym w decyzjach dotyczących zgodności z konstytucją zakazów „*obrażania uczuć religijnych*” i „*demonstracyjnego okazywania lekceważenia Narodowi Polskiemu ...*” itd. musiałby uznać taki przepis za zgodny z konstytucją. Wypowiedzi znieważające, obraźliwe, pogardliwe, posługujące się „*językiem marginesu społecznego*” czy „*argumentami ad personam*” nie są bowiem według TK konstytucyjnie chronione z tej racji, że nie należą one do „*istoty*” konstytucyjnie gwarantowanego prawa do wolności wyrażania opinii i rozpowszechniania informacji. Zauważyć można, że potencjalny zakres konstytucyjnie niechronionych według TK wypowiedzi jest zdecydowanie szerszy od zakresu wypowiedzi karalnych w myśl aktualnie obowiązującego w Polsce prawa. Obowiązujące w naszym kraju prawo zabrania np. publicznego znieważania pewnych grup społecznych, takich, jak Naród Polski (art. 133 k.k.) oraz grupy narodowościowe, etniczne, rasowe, wyznaniowe i wyróżniające się bezwyznaniowością (art. 257 k.k.). Zabrania też publicznego znieważania przedmiotu czyjejs czi religijnej, które prowadzi do obrazy uczuć religijnych innych osób (art. 196 k.k.). Lecz rozumowanie TK absolutnie dopuszcza zakazanie znieważania jakichkolwiek grup, czy też osób, bądź nawet rzeczy (w rodzaju np. dzieł sztuki – których „*znieważanie*” może obrażać uczucia ich wielbicieli). Z tej prostej, zdaniem TK, przyczyny, że zniewagi nie należą do „*istoty*” zagwarantowanego przez art. 54 ust. 1 konstytucji prawa do wolności słowa. I tu mówimy tylko o takich rodzajach wypowiedzi, które są konstytucyjnie niechronione – i w związku z tym mogące podlegać prawnym zakazom – już na samym wstępie. Nie było mowy o takich rodzajach wypowiedzi, które mogą być zabronione z tego powodu, że ich zakaz jest „*konieczny w demokratycznym państwie dla jego bezpieczeństwa lub porządku publicznego, bądź dla ochrony środowiska, zdrowia i moralności publicznej, albo wolności i praw innych osób*” – które to pojęcie – jak wskazują wyroki w sprawach dotyczących zgodności z konstytucją przepisów zabraniających np. publicznego znieważania prezydenta czy „*nawoływania do nienawiści*” – rozumiane jest przez TK bardzo szeroko. Tak więc jakkolwiek w orzeczeniach Trybunału Konstytucyjnego w sprawach dotyczących granic wolności słowa znajdują się okazynie peany na cześć tej wolności, a także przytoczenia słynnego zdania z jednego ze wczesnych wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka, że „*swoboda wypowiedzi obejmuje wyrażanie nie tylko poglądów uważanych za nierażące lub obojętne, lecz także tych obraźliwych, szokujących lub*

wprowadzających niepokój w państwie albo w jakiejś części społeczeństwa” wolność słowa nie jest – to trzeba jasno powiedzieć – dla TK zbyt ważną wartością, taką, którą trudno jest poświęcić na rzecz ochrony innych, konkurujących z nią (czy mogących być postrzegane jako konkurujące z nią) dóbr. Jeśli Trybunał Konstytucyjny skłonny jest w jakiejś mierze chronić wolność słowa, to w takim zakresie w jakim wolność ta – przynajmniej w demokratycznym, w miarę jeszcze normalnym państwie (które nie zakazuje jakiegokolwiek krytyki władzy czy pisania na niewygodne dla niej tematy – takie rzeczy to dzieją się – przynajmniej jak na razie - np. w Chinach) nie potrzebuje jakiejś specjalnej ochrony.

25. Przypuszczam, że Trybunał Konstytucyjny mógłby uznać za niezgodny z konstytucją takie ograniczenie wolności słowa, jak proponowany w kadencji sejmiku 2011 – 2015 przez posłów PiS przepis (mający się znaleźć w ustawie o IPN) w myśl którego karze do 5 lat więzienia miał podlegać ten, kto „*publicznie oskarża o udział w masowych zbrodniach polskie, niepodległościowe, niekomunistyczne, podziemne organizacje i formacje Polskiego Państwa Podziemnego*”. Przepis ten, z którego lansowania PiS już w okresie swych rządów się wycofał miał zabraniać wypowiedzi, o których nie dałoby się powiedzieć, że są one nieweryfikowalne z punktu widzenia ich prawdziwości czy też fałszywości. Myślę więc, że gdyby taki akurat przepis został uchwalony to Trybunał Konstytucyjny uznałby go za niezgodny z Konstytucją przynajmniej w takim zakresie, w jakim przewidywałby on karę dla kogoś kto oskarża jakąś organizację czy formację Polskiego Państwa Podziemnego o udział w masowych zbrodniach bez względu na to, czy jest on w stanie dowieść prawdziwości wysuwanych przez siebie oskarżeń. Podobnie, przypuszczam, że proponowany w tej samej kadencji sejmiku przez PiS przepis, zgodnie z którym na 5 lat do więzienia mógłby trafić ten, kto „*publicznie używa słów ‘polskie obozy śmierci’, ‘polskie obozy zagłady’, ‘polskie obozy koncentracyjne’ lub innych, które stosują przymiotnik ‘polskie’ wobec niemieckich nazistowskich obozów koncentracyjnych i ośrodków zagłady*” mógłby zostać uznany przez TK za niezgodny z Konstytucją w takim zakresie, w jakim zakazywałby on wszelkiego publicznego używania wymienionych w nim określeń bez względu na to, czy ich używanie miało na celu propagowanie poglądu, że Polacy mieli coś wspólnego z założeniem lub funkcjonowaniem wspomnianych obozów, lecz w jakim używanie tych określeń mogłoby zgodnie z literalnym odczytaniem tego przepisu być uznawane za czyn karalny w odniesieniu do tego rodzaju przypadków, jak stosowanie ich np. w publikacjach prasowych mówiących o zdarzających się niekiedy w innych krajach incydentach używania tego typu określeń.
26. O pojęciu „nieoliberalnej demokracji” twierdzi się niekiedy, że jest to oksymoron, że czegoś takiego nie może być, że państwo, w którym panuje „nieoliberalna demokracja” jest państwem, w którym po prostu nie ma demokracji. Ja myślę, że nie jest z tym tak całkiem prosto. Po pierwsze, wydaje mi się, że państwa, odnośnie których twierdzi się często, że panuje w nich „nieoliberalna demokracja” – a więc, przykładowo, Węgry, Polska, czy nawet Rosja – różnią się cokolwiek od prostych dyktatur w rodzaju

choćby Korei Północnej, czy Chin. Praktyczny zakres wolności i praw w tych pierwszych państwach – choć mocno podkopany i łatwo mogący ulegać dalszej erozji – jest w tych pierwszych państwach cokolwiek większy, niż w drugich. Po drugie, państwa powszechnie uznawane za liberalne demokracje też - niestety – często stosują praktyki, które z powodzeniem można byłoby uznać za nieliberalne – takie, jak np. ograniczenia wolności słowa, tego m.in. rodzaju, co zakazy „mowy nienawiści”, negowania – a nawet tylko „bagatelizowania” - Holocaustu – czy w ogóle zbrodni przeciwko ludzkości, „gloryfikowania terroryzmu” – które nie musi być (i tak z powodzeniem karalnym w oparciu o wcześniej istniejące przepisy) bezpośrednim podżeganiem do dokonywania terrorystycznych przestępstw - a czasem znacznie dziwniejsze – takie jak np. francuskie ustawy zabraniające „podżegania do anoreksji” oraz filmowania przemocy, o ile nie jest się zawodowym dziennikarzem, albo nie zamierza się iść z nagraniem na policję (zob. moje teksty na temat tych zakazów: <http://bartlomiejkozłowski.pl/anorexia.htm> i <http://bartlomiejkozłowski.pl/franc.htm>). Myślę więc, że różnica między „liberalnymi” a „nieliberalnymi” demokracjami jest czymś do pewnego przynajmniej stopnia względnym, a granica między nimi nie jest bynajmniej ostra i bezdyskusyjna. Oczywiście nie zmienia to wszystkiego faktu, że ze wspomnianych tu typów ustrojów państwowych – nie-demokracji, „nieliberalnych” demokracji i liberalnych demokracji jestem za możliwie maksymalnie liberalną demokracją.

27. Stwierdzenie to jest często przypisywane Thomasowi Jeffersonowi, w rzeczywistości jednak pierwszą znaną osobą, która wypowiedziała tego rodzaju zdanie, był John Philipot Curran, który w 1770 r. w swym przemówieniu po wybraniu go na Lorda Burmistrza Dublinu powiedział, że *„Warunkiem, pod którym Bóg dał wolność człowiekowi jest wieczna czujność”*.

*Jako swego rodzaju postscriptum – skoro w tym tekście jest w jakimś stopniu mowa o możliwej (choć bardzo trudnej zgodnie ze znanym stwierdzeniem Nielsa Bohra do przewidzenia) przyszłości wolności słowa, warto jest poruszyć problem swobody wypowiedzi w Internecie, a konkretniej rzecz biorąc w tzw. mediach społecznościowych – a więc takich serwisach, jak Facebook, Twitter, Instagram czy YouTube.

Zagadnienie to wiąże się z trudnym niewątpliwie dla wielu osób – zwłaszcza tych, którzy określają się mianem wolnościowców czy libertarian problemem: na ile do respektowania swobody ekspresji powinny być przymuszone podmioty będące bądź co bądź prywatną własnością?

Zanim spróbuję udzielić jakiejś odpowiedzi na wspomniane powyżej pytanie, chciałbym zauważyć, że w mediach społecznościowych istnieją generalnie rzecz biorąc dwa rodzaje cenzury. Pierwszy z tych rodzajów cenzury jest wprawdzie bezpośrednio stosowany przez same te media, lecz jest on im narzucany przez państwo – a w każdym razie, niektóre państwa – i mowa tu o pewnych przynajmniej państwach zachodnich, a nie o jakichś azjatyckich

satrapiach. Przykładem tego może być obowiązująca w Niemczech od 2017 r. ustawa, zgodnie z którą media społecznościowe muszą w ciągu 24 godzin usuwać treści niezgodne z niemieckim prawem – w tym tzw. „mowę nienawiści” – pod karą do 50 mln euro grzywny w razie niezrobienia tego wystarczająco szybko. Warto dodać, że od tego roku media społecznościowe w Niemczech mają obowiązek nie tylko usuwać zakazane prawem treści, ale także powiadamiać o nich i ich autorach policję.

Tego rodzaju *de facto* państwowa cenzura jest dla mnie w oczywisty sposób nie do zaakceptowania – a szczególnie już, jeśli zakres nielegalnych rodzajów ekspresji jest zakreślony tak szeroko, jak ma to miejsce w Niemczech. Lecz jest jeszcze cenzura stosowana przez media społecznościowe z ich własnej inicjatywy, na podstawie stworzonych przez nie, nie narzuconych im z góry kryteriów. Przykład takiej cenzury mieliśmy okazję widzieć ostatnio, kiedy to m.in. Twitter i Facebook zablokowały konto Donalda Trumpa, mimo, że amerykańskie prawo obowiązujące tam, gdzie centrale tych mediów mają swoje siedziby, generalnie rzecz biorąc nie pozwala na karanie za wypowiedzi takie, jak np. przemówienie Trumpa do jego zwolenników przed ich atakiem na Kapitol (w każdym razie Trump prawdopodobnie nie mógłby za to przemówienie zostać skazany w procesie karnym, gdyż nie wypełniało ono w pełni znamion „testu Brandenbura” zgodnie z którym wypowiedź może być karalna jako mogąca prowadzić do popełnienia przestępstwa tylko wówczas, gdy ma na celu bezpośrednio spowodowanie jego popełnienia i gdy jednocześnie jest prawdopodobne, że okolicznościach, w jakich miała ona miejsce mogła ona osiągnąć taki skutek – o ile na podstawie tego, co wydarzyło się 6 stycznia 2020 r. w Waszyngtonie można powiedzieć, że „natychmiastowa bezprawna akcja” była prawdopodobnym skutkiem wypowiedzi Trumpa, to trudniej byłoby stwierdzić, że spowodowanie takiej akcji było celem tej wypowiedzi. W przemówieniu Trumpa padło wprawdzie m.in. takie stwierdzenie, jak „Okazcie siłę. Walczcie jak diabli, inaczej zabiorą wam kraj!” – ale stwierdzenie to nie było jednoznacznym, nie budzącym wątpliwości wezwaniem do przestępczego działania – nawoływanie do „okazania siły” i „walczenia jak diabli” można było rozumieć jako wezwanie do np. intensywnego, głośnego, hałaśliwego demonstrowania, ale nie do wtargnięcia siłą do budynku, demolowania mienia i atakowania ludzi – choć oczywiście możliwe jest, że słuchacze Trumpa tak to zrozumieli. Kwestia tego, czy Trump za wspomniane przemówienie może zostać pociągnięty do odpowiedzialności w drodze impeachmentu jest kwestią inną – Amerykańska Unia Wolności Obywatelskich przedstawiła nader przekonujące argumenty na rzecz tezy, że coś takiego byłoby rzeczą całkowicie uzasadnioną i legalną, nawet jeśli Pierwsza Poprawka do Konstytucji prawdopodobnie wyklucza – jak wynika ze [stanowiska ACLU](#) – skazanie kogoś za taką wypowiedź, jak wypowiedź Trumpa - i mającą miejsce w podobnego rodzaju sytuacji- w drodze procesu karnego). Czy prawo mediów społecznościowych do stosowania takiej, przykładowo, cenzury – a dalej do cenzurowania wszelkich treści, które media te (czy może raczej ich właściciele) z takich czy innych powodów uznają za niewłaściwe powinno być uważane za naturalne i oczywiste, czy jednak w odniesieniu do takiego prawa tych mediów można mieć uzasadnione wątpliwości?

Tu znów, przed próbą udzielenia jakiejś odpowiedzi na pytanie „jak powinno być” trzeba powiedzieć o tym, jak jest. Obecnie – w USA, które jako państwo są dla mnie największym

wzorem, jeśli chodzi o podejście do kwestii zakresu wolności słowa – jest tak, że media społecznościowe – będąc oczywiście chronione przez I Poprawkę do Konstytucji przed odpowiedzialnością za publikowane przez nie treści (a także na mocy sekcji 230 tzw. Ustawy o Przyszłości w Komunikacji z 1996 r. przed odpowiedzialnością za treści publikowane przez ich użytkowników – podobnie, jak przed taką odpowiedzialnością generalnie rzecz biorąc chronione są na mocy tego przepisu serwisy hostingowe, czy dostawcy Internetu) nie są wewnątrznie *związane* tą poprawką. Podejście to jest niewątpliwie zgodne z wyznawanym przez klasycznych, rynkowych libertarian poglądem, że wolność słowa to kwestia własności – zgodnie z tym stanowiskiem, o ile władzom publicznym nie wolno cenzurować, czy zakazywać wypowiedzi (poza ewentualnie wyjątkowymi sytuacjami, takimi, jak w przypadku bezpośrednio niebezpiecznego podżegania do popełnienia przestępstwa) to prywatni właściciele powinni mieć prawo do cenzurowania wypowiedzi w dowolny sposób – niezależnie od tego, czy są to np. redakcje gazet, serwisów internetowych w rodzaju np. Onetu lub Wirtualnej Polski, czy też ogólnosiwiatowe serwisy społecznościowe w rodzaju Facebooka, Twittera, Instagrama, Youtube’a itd.

Jednak jak dla mnie, jako dla kogoś, kto – oczywiście – wysoce ceni prywatną własność, ale mimo wszystko nie absolutyzuje jej zachodzi pytanie, czy prywatni właściciele czegoś, co można nazwać przestrzenią medialną zawsze powinni mieć prawo cenzurować to, co się w tej przestrzeni pojawia? Czy właściciele owej przestrzeni nie powinni być w pewnych przynajmniej przypadkach związani Pierwszą Poprawką do amerykańskiej Konstytucji (ewentualnie też innymi krajowymi, czy międzynarodowymi przepisami chroniącymi wolność słowa) która związanym nią podmiotom nie pozwala na stosowanie w dowolny sposób czy to prewencyjnej, czy też represyjnej cenzury?

Pomysł, by prywatni właściciele medialnej przestrzeni byli – w pewnych przypadkach – to chciałbym wyraźnie podkreślić – związani Pierwszą Poprawką do Konstytucji USA jest, zdaję sobie z tego sprawę, pomysłem wysoce kontrowersyjnym. Lecz czy jest to na pewno zły pomysł? Albo pomysł po prostu głupi?

W pewnych przypadkach oczywiście tak. Spróbujmy sobie wyobrazić sobie sytuację tego rodzaju, że Pierwszą Poprawką do Konstytucji miałyby być związane np. redakcje gazet, czy też serwisów internetowych w rodzaju Onetu, Wirtualnej Polski, Interii, strony Gazety Wyborczej – a biorąc pod uwagę media amerykańskie New York Times’a, Washington Post, itd. Coś takiego prowadziłoby do tego, że media te musiałyby publikować wszystko, co ktoś do nich napisze – a w każdym bądź razie, nie mogłyby nie publikować czegokolwiek z powodu niezgody z daną treścią. W takim przypadku właściciele stron internetowych o charakterze religijnym musieliby tolerować publikowanie na nich treści obrażających ich wiarę, czy też treści o charakterze satanistycznym. Właściciele stron o charakterze antyfaszystowskim musieliby tolerować uprawianie na nich faszystowskiej propagandy. Oczywiście, np. „Gazeta Wyborcza” byłaby zmuszona do publikowania na swych łamach tekstów wysławiających rządu PiS-u, zaś „Gazeta Polska Codziennie” do publikowania tekstów wieszczących katastrofalne skutki władzy tej partii i wyrażających poparcie dla opozycji. Tak pojętą wolnością słowa logicznie rzecz biorąc musiałyby być także związane prywatne organizacje w rodzaju partii politycznych, stowarzyszeń czy też kościołów i

związków wyznaniowych. W hipotetycznie założonej sytuacji alumn seminarium duchownego, który zacząłby jawnie deklorować ateizm lub popierać satanizm nie mógłby zostać usunięty z tego seminarium – w każdym razie z tego powodu, że jest ateistą bądź satanistą. Podobnie, jak uczeń szkoły dla rabinów nie mógłby zostać wyrzucony z tej szkoły z tego np. tylko powodu, że chodzi w opasce ze swastyką bądź pochwała Holocaust. Byłoby to wszystko oczywiście czymś całkowicie niedorzecznym. Warto przy tym zauważyć, że tak rozciągnięta wolność słowa w sposób wyraźny kłóciłaby się z wolnościami, które normalnie uważa się i postrzega jako blisko z nią związane, a mianowicie wolnością prasy (i innych mediów, w rodzaju portali internetowych czy stacji telewizyjnych) oraz wolnością zrzeszania się. Przyjęcie, że np. redakcje gazet bądź czasopism bądź stacji telewizyjnych lub portali internetowych nie mogą cenzurować ukazujących się w nich treści mogłoby prowadzić do tego, że czymś niemożliwym stałoby się po prostu *redagowanie* treści ukazujących się w tego typu mediach – które w końcu polega często na stosowaniu jakiejś cenzury – usuwaniu czy zmienianiu jakichś słów, wycinaniu pewnych fragmentów i ostatecznie umieszczaniu w papierowym bądź internetowym wydaniu gazety czegoś cokolwiek innego, niż pierwotnie napisał autor danego tekstu. Podobnie jak w opisanym przypadku naruszona musiałaby zostać istota wolności prasy, tak samo musiałaby zostać naruszona istota wolności zrzeszania się. Istotą tej wolności jest bowiem prawo ludzi do zrzeszania się z tymi, z którymi chcą się oni zrzeszać i nie zrzeszania się z tymi, z którymi robić tego nie chcą – co implikuje prawo prywatnych zrzeszeń do wykluczania ze swego grona tych osób, które naruszają jakieś przyjęte przez nie zasady.

Być może – przyszło mi to teraz do głowy – nie musiałoby to wszystko wyglądać w sposób aż tak skrajny i absurdalny. Załóżmy, że – czy to na podstawie jakiejś interpretacji Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA czy też specjalnie uchwalonej ustawy – zostałyby uznane, że takie podmioty, jak np. redakcje gazet, czasopism, portali internetowych, czy prywatnych organizacji w rodzaju stowarzyszeń, partii politycznych i organizacji wyznaniowych są związane tym fragmentem amerykańskiej Konstytucji. Taka sytuacja z pewnością oznaczałaby to, że prywatne osoby mogłyby skarżyć na drodze sądowej te podmioty z powodu stosowanej przez nie cenzury. I tak np. dziennikarze mogliby skarżyć redakcje gazet, dla których pracują z powodu niepublikowania ich tekstów, bądź dokonywania w nich jakichś zmian. Z podobnymi skargami mogliby występować czytelnicy tych gazet piszący do nich listy, które jednak nie ukazały się w nich bądź ukazały w ocenzurowanej wersji. Prywatne organizacje (czy osoby kierujące tymi organizacjami) mogłyby być skarżone przez osoby, które z racji wygłaszania przez nie takich czy innych poglądów zostały wyrzucone z tych organizacji bądź nie zostały przyjęte do nich. Lecz sądy nie musiałyby jednak – w jakiś konieczny i automatyczny sposób – uwzględniać skarg złożonych przez takie osoby. Związanie mediów i innych prywatnych organizacji Pierwszą Poprawką do Konstytucji USA (czy innym konstytucyjnym bądź podobnym przepisem gwarantującym prawo do swobodnego wypowiedzenia się) nie musiałoby zatem prowadzić do takich niedorzeczności, jak to, że czasopisma katolickie musiały publikować teksty o charakterze satanistycznym, bądź że takie teksty nie mogłyby być usuwane z forów internetowych związanych z takimi czasopismami, albo, że skin ze swastyką nie mógłby zostać wyrzucony ze szkoły dla rabinów – w każdym razie z tego powodu, że jest skinem i że nosi opaskę ze swastyką. Lecz

hipotetyczne związanie mediów czy innych prywatnych organizacji Pierwszą Poprawką bądź innym konstytucyjnym, względnie międzynarodowym postanowieniem gwarantującym prawo do wolności słowa, jeśli nawet nie prowadziłyby do takich, jak wspomniane uprzednio absurdów, musiałyby prowadzić do nader poważnych problemów. W zakładanej przeze mnie w sposób teoretyczny sytuacji sądy musiałyby decydować o takich, przykładowo, sprawach jak to, gdzie jest granica między niedopuszczalnym stosowaniem cenzury przez redakcję jakiejś gazety (czy też czasopisma bądź portalu internetowego) a dopuszczalnym redagowaniem tekstu. Bądź np. o tym, czy jakiś tekst jest zasadniczo rzecz biorąc zgodny z linią redakcyjną gazety lub czasopisma, czy też nie. Bądź ewentualnie o tym, czy jakiś tekst zasługuje na opublikowanie w danym piśmie, mimo, że nie jest zgodny z linią redakcyjną tego pisma, jako np. wartościowy wkład w dyskusję na temat poruszanej w nim tematyki. Albo np. o tym, jaki jest zakres krytyki prywatnych organizacji (w rodzaju partii politycznych, stowarzyszeń itd.) przez ich członków, które te organizacje muszą tolerować.

Może z czegoś takiego nie wynikłyby rzeczy najgorsze. Może wynikłyby z tego nawet rzeczy całkiem w gruncie rzeczy pozytywne. Nie byłoby dobrze, gdyby czytelnicy jakiegoś pisma – czy też strony internetowej – gdzie są prezentowane określone poglądy dotyczące takich czy innych spraw mieli okazję zetknąć się z innymi poglądami o tych sprawach – w tym samym piśmie, bo tam właśnie będą mieli największą szansę – w hipotetycznie zakładanej przeze mnie sytuacji – na nie trafić? Lecz odnośnie takich spraw, o jakich była tu mowa nie istnieje jakakolwiek doktryna prawna, jakikolwiek wzorzec postępowania, według którego sądy mogłyby oceniać, czy jakiś prywatny podmiot w rodzaju redakcji gazety, moderatora forum internetowego, czy kierownictwa jakiejś organizacji naruszył w sposób niedopuszczalny czyjeś prawo do swobodnego wypowiedzenia się czy też nie. Gdyby więc sądy miały orzekać w takich sprawach, musiałyby to robić niejako po omacku, w oparciu o swoje „widzimi się”. Generalnie rzecz biorąc, musiałyby się one zajmować czymś, na czym się nie znają, czym nigdy się nie zajmowały i czym – na zdrowy rozum – zajmować się nie powinny.

Poruszony tu powyżej problem jest jednak wyłącznie teoretyczny – są to klasyczne rozważania w stylu „co by było, gdyby...?” – i o ile mi wiadomo, nie ma, jak się zdaje, również w USA, jakichś ogólnych skarg na cenzurę np. w gazetach, czy na stronach internetowych gazet i związanych z tymi stronami forach i nikt też chyba nie postuluje tego, by gazety itp. były wewnętrznie związane postanowieniami I Poprawki do Konstytucji USA. Skargi na cenzurę istnieją jednak odnośnie mediów społecznościowych w rodzaju Facebooka, Twittera, Youtube’a itd. Skargi te w dużej mierze wynikają oczywiście z zakresu tych mediów – Facebook ma np. ok. miliarda użytkowników. Ale czy są one merytorycznie rzecz biorąc bardziej uzasadnione niż – czysto teoretycznie – mogłyby być uzasadnione skargi na cenzurę stosowaną przez wydawnictwa, redakcje gazet, portali internetowych czy stacji telewizyjnych? W końcu jedne i drugie są prywatną własnością.

Istnieje jednak pewna różnica między wydawnictwami, które decydują o tym, jakie książki wydać, a jakie nie, redakcjami gazet, które w taki czy inny sposób ingerują w treść publikowanych w tych gazetach artykułów, redakcjami portali internetowych czy stacji telewizyjnych, które robią mniej więcej to samo, a wielkimi platformami społecznościowymi, których użytkownicy mogą umieszczać na nich takie czy inne treści, które – w odróżnieniu od

np. gazetowych artykułów – nie są w żaden sposób zamawiane przez te platformy. Te pierwsze można określić ogólnym mianem wydawców. Lecz platformy społecznościowe nie są wydawcami. Stwierdził to nie kto inny, jak założyciel Facebooka Mark Zuckerberg, kiedy na zadane podczas przesłuchania przed komisją amerykańskiego Senatu pytanie: „Czy jesteście spółką technologiczną, czy największym na świecie wydawcą?” odpowiedział on, że „Postrzegam nas jako spółkę technologiczną, ponieważ podstawową rzeczą, jaką robimy jest tworzenie technologii i produktów”.

Zuckerberg podczas wspomnianego przesłuchania stwierdził dalej, że czuje, iż Facebook jest odpowiedzialny za publikowane w nim treści. Trzeba powiedzieć, że możliwe jest, iż czuje się on za to odpowiedzialny moralnie, co – można powiedzieć - dobrze świadczy o jego wrażliwości. Lecz prawda jest taka, że w obecnym stanie prawnym obowiązującym w USA Facebook nie jest prawnie odpowiedzialny za to, co piszą i umieszczają w nim jego użytkownicy, podobnie jak nie są za coś takiego odpowiedzialni ci, którzy świadczą usługi dostarczania Internetu czy hostingu stron internetowych. To różni ich od np. redaktorów gazet, którzy mogą odpowiadać chociażby za umieszczane w tych gazetach treści zniesławiające jakieś osoby, nawet jeśli nie są oni autorami tych treści. Z drugiej strony, właściciele usług hostingowych – w tym platform społecznościowych – są chronieni przed prawną odpowiedzialnością za usuwanie hostinguowanych przez nich treści, jeśli treści te są w ich opinii są obsceniczne, sprośne, lubieżne, brudne, nadmiernie brutalne, nękające, lub w inny sposób niewłaściwe, niezależnie od tego, czy są, czy też nie są one chronione konstytucyjnie. Pod tym akurat względem prawa właścicieli usług hostingowych, w tym ogólnosiwiatowych platform w rodzaju Facebooka czy Youtube'a są identyczne z prawami właścicieli i redaktorów gazet, książek, portali internetowych itp.

Czy jednak związanie mediów społecznościowych Pierwszą Poprawką do Konstytucji USA byłoby czymś właściwym? Czy nie prowadziłyby to do jakichś niemożliwych, na zdrowy rozum, do zaakceptowania rezultatów? Czy byłoby to wreszcie możliwe prawnie bez wywracania porządku generalnie rzecz biorąc ustalonego przez orzecznictwo sądowe związane z I Poprawką?

Zaczynając od ostatniego pytania: Pierwsza Poprawka do amerykańskiej Konstytucji generalnie rzecz biorąc wiąże – jak wiadomo każdemu choćby trochę zorientowanemu w temacie – tylko władze państwowe. Literalnie rzecz biorąc dotyczy ona wyłącznie federalnego Kongresu, lecz interpretuje się ją jako wiążącą wszelkie władze federalne, a z pośrednictwem paragrafu pierwszego XIV Poprawki władze stanowe i jeszcze niższego szczebla. To jednak, że I Poprawka do Konstytucji – podobnie jak inne postanowienia konstytucyjne, z wyjątkiem zabraniającej niewolnictwa XIII Poprawki, która ma bezpośrednie zastosowanie wobec obywateli – bezpośrednio wiąże tylko władze publiczne, nie oznacza jeszcze – w jakiś konieczny w każdym razie sposób – że nie można rozszerzyć zakresu związanych nią podmiotów, choć zakres tego rozszerzenia oczywiście nie może być nieograniczony.

Jak takiego rozszerzenia zakresu podmiotów związanych Pierwszą Poprawką można byłoby dokonać? Otóż, po pierwsze, ustawą (nie mówiąc oczywiście o poprawce do konstytucji).

Jeśli chodzi o takie rozszerzenie zakresu obowiązywania Pierwszej Poprawki na pewne podmioty prywatne to istnieje w USA pewien znany mi precedens. Jest on taki, że w Kalifornii swego czasu (w 1992 r.) uchwalono ustawę, na mocy której Pierwsza Poprawka do Konstytucji USA ma zastosowanie zarówno wobec publicznych, jak i prywatnych uniwersytetów, college'ów oraz liceów. Normalnie – tak jest we wszystkich pozostałych stanach USA – publiczne uczelnie są związane Pierwszą Poprawką i dlatego też sądy uchylały – jako niezgodne z konstytucją - wprowadzane często na takich uczelniach, zwłaszcza w latach 80. i 90. kodeksy zabraniające używania tak czy inaczej definiowanej „mowy nienawiści”. Lecz uczelnie prywatne generalnie rzecz biorąc nie są związane przez Pierwszą Poprawkę. Władze takich uczelni mogą więc karać ich studentów za jakies niewłaściwe wypowiedzi – czy to np. wypowiedzi obrażające jakies grupy rasowe, religijne lub jeszcze inne, czy wypowiedzi np. bluźniercze – nawet jeśli takie wypowiedzi są chronione przez I Poprawkę i nie mogłyby być one w związku z tym karane przez władze publiczne, w tym władze publicznych uczelni.

W Kalifornii wprowadzona jednak została wspomniana tu wcześniej ustawa, zwana [Prawem Leonarda](#) (od nazwiska jej proponenta, Williama R. Leonarda). Opierając się na tej ustawie dziewięciu studentów prywatnego Uniwersytetu Stanforda zaskarżyło do kalifornijskiego sądu (Superior Court, State Of California, County of Santa Clara) wprowadzony na tej uczelni kodeks zabraniający „nękania przez personalne oczernianie” które ogólnie rzecz biorąc mogło polegać na kierowaniu do konkretnej osoby lub małej grupy osób obelżywych stwierdzeń odnoszących się do ich płci, rasy, koloru skóry, niepełnosprawności, wyznania, orientacji seksualnej bądź pochodzenia narodowego lub etnicznego. Ponieważ Uniwersytet Stanforda jest uczelnią prywatną, w stanie nie mającym takiego prawa, jak kalifornijska Ustawa Leonarda, sąd nie mógłby unieważnić wprowadzonego na takiej uczelni kodeksu zabraniającego takich czy innych wypowiedzi, bez względu na zakres takiego zakazu, z tego po prostu względu, że wprowadzenie takiego kodeksu nie byłoby działaniem rządowym. Lecz Kalifornia miała rzeczony Prawo Leonarda. Dzięki tej ustawie kalifornijski sąd mógł ocenić zgodność wprowadzonej na prywatnej uczelni regulacji z Pierwszą Poprawką do Konstytucji USA. I uznał, że nie jest ona z nią zgodna.

Decyzja w sprawie [Robert J. Corry i inni przeciwko Uniwersytetowi Stanforda](#) nie jest, trzeba to powiedzieć, jakimś szczególnie ważnym precedensem – jest to orzeczenie lokalnego sądu, będącego w systemie sądownictwa Kalifornii odpowiednikiem jednocześnie polskiego sądu rejonowego i okręgowego. Podobnie, nie jest szczególnie istotnym precedensem kalifornijska Ustawa Leonarda – jest to prawo obowiązujące wyłącznie w Kalifornii i nieuchwalone – mimo pewnych prób – nigdzie indziej - i nie odnoszące się oczywiście – bezpośrednio przynajmniej - do Internetu. Niemniej jednak, to, o czym tu jest mowa jest pewnym precedensem pokazującym, że potencjalnie jest możliwe rozciągnięcie – w drodze ustawowej – zakresu podmiotów zobowiązanych do respektowania I Poprawki do Konstytucji USA z władz publicznych na przynajmniej niektóre podmioty prywatne. Innym precedensem może być wyrok – tym razem już Sądu Najwyższego USA w sprawie [Marsh v. Alabama](#) z 1946 r. z którego wynika, że miasto będące własnością prywatnej korporacji (w USA zdarzają się – choć rzadko – takie) musi przestrzegać I Poprawki. To też nie jest jakiś mocny precedens – w

pewnych późniejszych orzeczeniach amerykański Sąd Najwyższy uznał, że Pierwsza Poprawka nie chroni prawa do publicznych protestów w prywatnych centrach handlowych – lecz mimo wszystko jest to jakaś wskazówka na rzecz tezy, iż obowiązywanie Pierwszej Poprawki może być w pewnych przynajmniej sytuacjach rozciągnięte na podmioty inne, niż władze publiczne.

To jednak, że obowiązywanie Pierwszej Poprawki do Konstytucji USA może być w pewnych sytuacjach rozciągnięte na podmioty będące prywatną własnością nie oznacza jeszcze tego, że związanie tych podmiotów I Poprawką musi być rzeczą mądrą. Więcej nawet – związanie ich Pierwszą Poprawką byłoby w pewnych sytuacjach sprzeczne z samą Pierwszą Poprawką. Pierwsza Poprawka gwarantuje, jak wiadomo, wolność słowa. I jednocześnie gwarantuje ona wolność prasy. Współcześnie wolność prasy rozumie się jako wolność mediów. Wolność mediów polega na tym, że to media, zgodnie z przyjętymi przez nie regułami decydują o tym, co może, a co nie może się w nich ukazać. A ponieważ media – gazety, czasopisma, portale internetowe, czy stacje radiowe i telewizyjne są generalnie rzecz biorąc prywatną własnością, ostatecznymi decydentami w kwestii tego, co może, a co nie może się w nich ukazywać są ich właściciele. I w ramach własności posiadanych przez siebie mediów mogą oni stosować cenzurę, czy też wyznaczać jej ramy, bądź godzić się na ich wyznaczanie przez np. redakcje.

To w odniesieniu do gazet, czasopism, konkretnych portali internetowych, czy konkretnych stacji radiowych lub telewizyjnych jest rzeczą bezsporną i oczywistą. Czy jest to jednak oczywiste w odniesieniu do np. Facebook'a, Youtube'a czy Twitter'a? Te serwisy internetowe są jak wiadomo prywatną własnością. Ale czy są one – co do swojej istoty – tym samym – co np. prywatne portale internetowe, w tym takie, które zawierają fora pozwalające odwiedzającym te portale osobom wyrażać swoje zdanie na takie czy inne tematy?

Moim zdaniem da się między nimi wskazać różnice. Jedną z nich jest oczywiście ich wielkość. Drugą sposób funkcjonowania. Wydawnictwa książkowe, redakcje gazet, a także redakcje portali internetowych ogólnie rzecz biorąc zamawiają materiały, które są w nich publikowane – czy to od swoich pracowników, czy od osób współpracujących z nimi – w każdym razie w sposób aktywny decydują o tym, co się w nich ukaże, a co nie. Owszem, jest prawdą, że portale internetowe prowadzą nieraz fora, na których ich użytkownicy mogą w sposób mniej lub bardziej swobodny wypowiadać swoje opinie o takich czy innych sprawach. Na forach takich nader często jest oczywiście stosowana taka czy inna forma cenzury. Mi stosowanie jakiegokolwiek cenzury generalnie rzecz biorąc się nie podoba. Lecz nie ośmieliłbym się posunąć do twierdzenia, że redakcja forum np. „Gazety Wyborczej” „Wirtualnej Polski” czy „Polityki” nie powinna mieć prawa do określenia, co może się na takim forum ukazać, a co nie. I w związku z tym do usuwania treści niezgodnych z ustalonym przez siebie regulaminem – a więc, stosowania swego rodzaju cenzury.

Istnieje jednak według mnie pewna różnica między Facebook'iem, Youtube'em, czy Twitter'em, a np. informacyjnymi portalami internetowymi, nawet jeśli prowadzą one fora, czy blogowiska, na których ich uczestnicy mogą się swobodnie wypowiadać. Typowe internetowe portale mają zazwyczaj jakieś swoje – węższe lub szersze – oblicze ideowe, czy tematyczne, o którego zakresie w ostateczności decydują ci, którzy te portale prowadzą. W

przypadku takich, jak tu wspomniane globalnych platform tak jednak nie jest. Platformy te mają oczywiście swoje charakterystyki w sensie np. rozpoznawalnego dla znających je osób wyglądu, czy funkcji (w rodzaju choćby „lubię to” na Facebooku). Lecz to, co jest na tych platformach prezentowane jest zależne w pierwszym rzędzie od ich użytkowników – nie ich szefów. Na to, by te platformy miały jakieś choćby przybliżone ideowe oblicze są one po prostu i zwyczajnie za duże.

Jeśli więc ktoś nie trzyma się kurczowo poglądu, że Pierwsza Poprawka do Konstytucji USA (czy inne konstytucyjne bądź ponad krajowe gwarancje prawne wolności słowa) nie wiązać podmiotów innych, niż władze publiczne, to myśl, że ten fragment amerykańskiej konstytucji powinien wiązać globalne platformy społecznościowe i zakazywać stosowania przez nie cenzury – tak długo przynajmniej, jak nie pojawiają się w nich treści niechronione przez Pierwszą Poprawkę (a więc, dajmy na to, pornografia z udziałem rzeczywistych dzieci) nie powinna być czymś zasługującym z góry na odrzucenie.

Ale, mógłby ktoś twierdzić, związanie globalnych mediów społecznościowych I Poprawką do Konstytucji USA miałyby negatywne skutki. To prawda, że z mediów tych – a więc np. Facebooka czy Youtube’a można byłoby w takim przypadku usuwać pewne treści – takie, jak skierowane pod adresem konkretnych osób groźby przemocy, czy wspomnianą już pornografię dziecięcą – lecz nie można byłoby z nich usuwać już np. „mowy nienawiści” gdyż ta, poza wspomnianymi tu wcześniej sytuacjami (a więc np. gdy stanowi ona „fighting words” lub bezpośrednio niebezpieczne i intencjonalne podburzanie do natychmiastowej przemocy) jest ona chroniona przez I Poprawkę.

Czy jednak niemożność pozbywania się z Facebooka czy Youtube’a - jako takich - „mowy nienawiści” – albo np. propagandy terrorystycznej (co do tej drugiej, to uważam, że czymś zakazaniem i karalnym powinno być kierowanie działalnością terrorystyczną i spiskowanie w celu jej prowadzenia, niezależnie od tego, czy odbywa się to w Internecie czy gdziekolwiek indziej. Natomiast po prostu ogólne propagowanie poglądów o słuszności czy konieczności uprawiania terroryzmu powinno być dozwolone – to zresztą wynika z orzeczenia Sądu Najwyższego USA w sprawie *Brandenburg v. Ohio* z 1969 r. Zaś co do kierowania działalnością terrorystyczną czy omawiania szczegółów planowanych ataków terrorystycznych to nie sądzę, by tego typu aktywność była prowadzona na otwartych i popularnych platformach typu np. Facebook, gdzie prowadzący ją łatwo mogliby zostać wykryci) – byłaby tak złą rzeczą, jakby się to mogło (niektórym przynajmniej) wydawać? Otóż niekoniecznie. Wypchnięcie ekstremistów z popularnych mediów społecznościowych ani - co chyba oczywiste - nie spowoduje tego, że ekstremiści po prostu przestaną istnieć lub zmienią swe poglądy, ani tego, że znikną oni z Internetu. Wypchnięci z Facebooka, Twittera, czy Youtube’a założą własne ich wersje, gdzie będą dominować. Tak zresztą się dzieje. Jak w swym artykule [De Facto State: Social Media Networks and the First Amendment](#) pisze Paul Domer „*polityka Twittera spowodowała to, że wielu białych suprematystów przeniosło się do alternatywnego serwisu społecznościowego Gab i to stworzyło efekt kamery pogłosowej, w której najbardziej gwałtowne i skrajne głosy wzmacniały się nawzajem. Robert Bowers, oskarżony zabójca 11 osób w synagodze w Pittsburghu był użytkownikiem Gab-u i często umieszczał na tej stronie antysemityczne treści. Usunięcie najbardziej ekstremalnych treści z*

większych witryn mogło uniemożliwić dotarcie tych treści do szerszej publiczności, ale nie przeszkodziło ekstremizmowi w dotarciu do najbardziej podatnych odbiorców. Co więcej, strzelanina w Pittsburghu pokazuje, że ograniczanie propagandy ekstremistów w głównych portalach społecznościowych bynajmniej nie wyeliminuje przemocy. Stwarza nawet możliwość, że ich wykluczenie tylko zaostrzy problem, powodując urazę u osób objętych zakazami, czego skutkiem będzie podsycanie cykli nienawiści. Jak stwierdził dziennikarz Ian Miles Cheong „jeśli zepchniesz ich pod ziemię, to zradyzalizują się bardziej”.

Pomysł, by globalne sieci społecznościowe w rodzaju Facebook’a, Youtube’a czy Twitter’a były związane i Poprawką do Konstytucji USA (względnie też w odpowiednich krajach obowiązującymi w nich postanowieniami konstytucyjnymi) i nie mogły w dowolnie ustalony przez siebie sposób stosować cenzury nie jest więc, jak sądzę, niedorzeczny. Ale jeśli komuś ten pomysł z takich czy innych względów się nie podoba, to powiem jedno: oczekiwanie, by został on (przynajmniej nie w jakimś długim czasie) wcielony w życie jest kompletnie nierealistyczne. Spodziewać może się raczej zupełnie czegoś innego: dążenia do – kolokwialnie wyrażając się – wzięcia mediów społecznościowych „za twarz” i doprowadzenia do tego, by one same ponosiły odpowiedzialność za nielegalne treści umieszczane w nich przez ich użytkowników.

Działania w tym kierunku są już podejmowane – zostało tu wspomniane o niemieckiej ustawie, która przewiduje karę do 50 mln euro grzywny dla mediów społecznościowych za nie dość szybkie usuwanie „mowy nienawiści” i innych zakazanych prawem w Niemczech treści, a od tego roku nakazuje również tym mediom informowanie policji o takich treściach. Również nowy prezydent USA Joe Biden w grudniowym wywiadzie dla gazety „New York Times” powiedział, że ochrona mediów społecznościowych przed odpowiedzialnością za to, co publikują użytkownicy – czyli art. 230 Communications Decency Act – powinna zostać cofnięta.

Czy zostanie, czy nie – może się o tym przekonamy – od wyrażenia przez prezydenta (w momencie udzielenia wspomnianego wywiadu jeszcze elekta) do uchwalenia przez Kongres stosownej ustawy droga jest daleka (a jej ewentualne zakończenie niepewne). Ale pomysł, by media społecznościowe – czy serwisy hostujące strony internetowe – odpowiadały prawnie za to, co umieszczają w nich ich użytkownicy nie może – moim zdaniem – prowadzić do dobrych rezultatów. Jak bowiem mogą się media społecznościowe (czy serwisy hostujące strony WWW) bronić przed odpowiedzialnością za wrzucane do nich nielegalne treści – których w USA w obecnym stanie prawnym jest niewiele – lecz których już np. w Niemczech czy w Polsce jest znacznie więcej? Otóż, tylko w jeden: stosując cenzurę. Mogą to one robić na dwa sposoby: albo zatrudniając w tym celu całą armię cenzorów... tj. przepraszam, moderatorów – albo stosując odpowiednie automatycznie działające algorytmy. Jedno i drugie łatwo może prowadzić do cenzury o charakterze *de facto* arbitralnym, której ofiarą pada znacznie więcej treści, niż te, które dałoby się uznać za rzeczywiście naruszające przepisy prawa.

Mówiąc o ochronie wolności słowa w Internecie warto też wspomnieć o pomysłe ministra (nie)sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry, który niedawno przedstawił założenia projektu

ustawy o ochronie wolności słowa w internetowych serwisach społecznościowych. Projekt ten zakłada powołanie wybieranej przez Sejm większością 3/5 głosów Rady Wolności Słowa, która będzie mogła nakazać serwisom społecznościowym przywrócenie usuniętych przez nie treści, jeśli te zostaną przez nią uznane za zgodne z polskim prawem, a także będzie władna nakładać na te serwisy kary w wysokości od 50 tys. do 50 mln zł, jeśli nie zrobią one tego w odpowiednim czasie.

Idea, by Facebook czy Twitter nie mogły bezkarnie usuwać treści niełamających polskiego – niespecjalnie, trzeba powiedzieć, wolnościowego, jeśli chodzi o gwarancje zakresu swobody wypowiedzi prawa, nie wydaje się – *per se* – najgorszym pomysłem. Jednak z realizacją tego pomysłu związany jest jeden praktyczny problem: czy to Rada Wolności Słowa czy polski sąd nie będą miały jak wyegzekwować powziętych przez siebie decyzji od podmiotów, których siedziby zlokalizowane są w USA i nie podlegają jurysdykcji organów polskiego państwa.

Istnieje jeszcze jeden powód, by sceptycznie podchodzić do wspomnianej powyżej propozycji min. Ziobry: Zbigniew Ziobro nie jest znany – mi przynajmniej – jako obrońca wolności słowa. Świadczyć może o tym chociażby uchwalona przez sejm poprzedniej kadencji gruntowna nowelizacja kodeksu karnego (nie weszła ona w życie z powodu uznania jej przez Trybunał Konstytucyjny na wniosek Prezydenta za niezgodną z Konstytucją z racji nieprawidłowego tj. niezgodnego z Regulaminem Sejmu trybu jej przeprowadzenia), która wprowadzała nowe „przestępstwa słowne” i zaostrzała kary za niektóre już istniejące (pisałem o tym w tekście [„Zakazy wypowiedzi: droga \(w najlepszym przypadku\) do nikąd”](#)). Wprawdzie nie wiem na temat tego, czy np. przepis przewidujący karę do 3 lat więzienia za publiczne propagowanie ideologii nazistowskiej, komunistycznej lub faszystowskiej lub ideologii nawołującej do użycia przemocy w celu wpływania na życie polityczne lub społeczne (a więc czegoś innego – a w każdym razie nie po prostu takiego samego, jak karalne od dawna propagowanie faszystowskiego lub innego totalitarnego ustroju państwa czy nawoływanie do popełnienia przestępstwa) wymyślił osobiście Zbigniew Ziobro, ale oczywiście jest chyba, że takiego przepisu nie byłoby w projekcie nowelizacji kodeksu karnego bez jego akceptacji. (Tak przy okazji, to wspomniany projekt został ostatnio – choć póki co jeszcze nie w oficjalny sposób – opublikowany. Projekt ten przewiduje m.in. to, że prokurator mógłby w przypadku wystąpienia w serwisie społecznościowym mającym zarejestrowanych w Polsce co najmniej milion użytkowników zwrócić się do usługodawcy lub jego przedstawiciela w kraju (którego taki serwis musiałby według tego projektu ustanowić) o nadesłanie potrzebnych informacji, w szczególności dotyczących danych określających użytkownika oraz publikacji zamieszczonych w internetowym serwisie społecznościowym (art. 36.1. projektu), zaś „w przypadku stwierdzenia, że treści o charakterze przestępnym zawierają publikację z treściami pornograficznymi z udziałem małoletniego lub treściami, które pochwalają lub nawołują do popełnienia czynów o charakterze terrorystycznym albo że dalszy dostęp do tej publikacji stwarza niebezpieczeństwo wyrządzenia znacznej szkody lub spowodowania trudnych do odwrócenia skutków” miałby wręcz obowiązek niezwłocznego wydania postanowienia nakazującego usługodawcy uniemożliwienie dostępu do tych treści (art. 36.2). Na postanowienie takie miałyby przysługiwać zażalenie do sądu rejonowego właściwego miejscowo dla prokuratora,

który wydał zaskarżone postanowienie (art. 36.4), lecz niezależnie od tego postanowienie to podlegałoby natychmiastowemu wykonaniu (art. 36.3). Jasne jest więc, że [projekt ustawy o ochronie wolności słowa w internetowych serwisach społecznościowych](#) jest tak naprawdę projektem ustawy o cenzurze).

I trzeba tu ponadto powiedzieć pewną istotną jak mi się wydaje rzecz na temat różnicy między cenzurą stosowaną przez serwisy społecznościowe, typu Facebook, Twitter czy Youtube, a cenzurą stosowaną przez państwo. Cenzura, niewątpliwie często zdarzająca się w mediach społecznościowych, nie jest rzeczą dobrą. Często opiera się ona na arbitralnych, nieprzejrzystych lub co gorsza niejawnym kryteriach. Pod tym akuratem względem cenzura stosowana przez te media może być czymś gorszym od cenzury stosowanej przez władze państwowe – przynajmniej, gdy mówimy o władzach państw (w miarę przynajmniej) praworządnych i demokratycznych – gdyż ta opiera się na publicznie dostępnym i nie podlegającym szybkim zmianom prawie. Lecz są pewne rzeczy, których media społecznościowe nie mogą robić – bo po prostu nie są w stanie – a władze państwowe niestety tak. I tak np. serwisy typu Facebook, Twitter itd. mogą tak czy inaczej cenzurować umieszczane w nich przez ich użytkowników treści, nie są w stanie za umieszczenie tych treści nakładać na tych użytkowników grzywien, czy – tym bardziej – wsadzać ich do więzienia. Lecz władze państwowe niestety mogą to robić – z prostego względu, że operują aparatem prawnego przymusu. Cenzura państwowa – będąc zazwyczaj, zgoda co do tego, cenzurą bardziej przewidywalną, niż cenzura stosowana przez internetowe serwisy – a także dającą osobom, odnośnie których np. sąd uznał, że przekroczyły one prawnie ustalone granice swobody wypowiedzi prawo do tego, by odwołać się do np. sądu wyższej instancji – może być cenzurą znacznie bardziej brutalną od cenzury stosowanej przez Facebooka, Youtube’a itd. Nie zawsze – trzeba to powiedzieć – musi być. Nie jest co najmniej oczywiste, że jakaś niska grzywna wymierzona przez państwowy sąd z powodu umieszczenia przez kogoś jakiejś wypowiedzi na Twitterze, Youtube, czy Facebooku jest w praktyce gorszą karą od np. zablokowania konta danej osoby przez serwis społecznościowy z powodu takiej wypowiedzi. Lecz mimo wszystko, Facebook, Twitter czy Youtube nie mają policji, prokuratury, sądów, ani więzień. Państwo – co samo w sobie jest rzeczą oczywistą – je ma. I potencjalnie może represjonować ludzi za to, co ludzie ci mówią, piszą lub wyrażają jeszcze inaczej (np. używając takich czy innych gestów i symboli) w brutalny sposób. I w dodatku nie jest tak, by np. w Polsce obowiązywały tylko jakieś minimalne ograniczenia swobody wypowiedzi, naprawdę niezbędne do tego, by w sensowny sposób chronić ludzi przed krzywdą, do jakiej czasem – zgoda co do tego – mogą prowadzić słowa. Przeciwnie, ograniczenia swobody ekspresji są w Polsce całkiem szerokie i – co gorsza – praktycznie wszystkie istniejące w Polsce ugrupowania polityczne chcą, czy też w niedawnej przeszłości chciały te ograniczenia jeszcze powiększyć. Tak więc największym zagrożeniem dla wolności słowa są nie Facebook, Youtube, Twitter, Instagram czy jeszcze inne tego rodzaju media, ale państwo i politycy. Nie bagatelizując problemu cenzury w serwisach społecznościowych, tym drugim trzeba w pierwszym rzędzie patrzeć na ręce. Bo mając do dyspozycji aparat państwa mogą wyrządzić ludziom z tego powodu, co ludzie ci wyrażają bez porównania więcej krzywdy, niż być może słusznie krytykowane za stosowanie cenzury globalne serwisy.

Strona główna